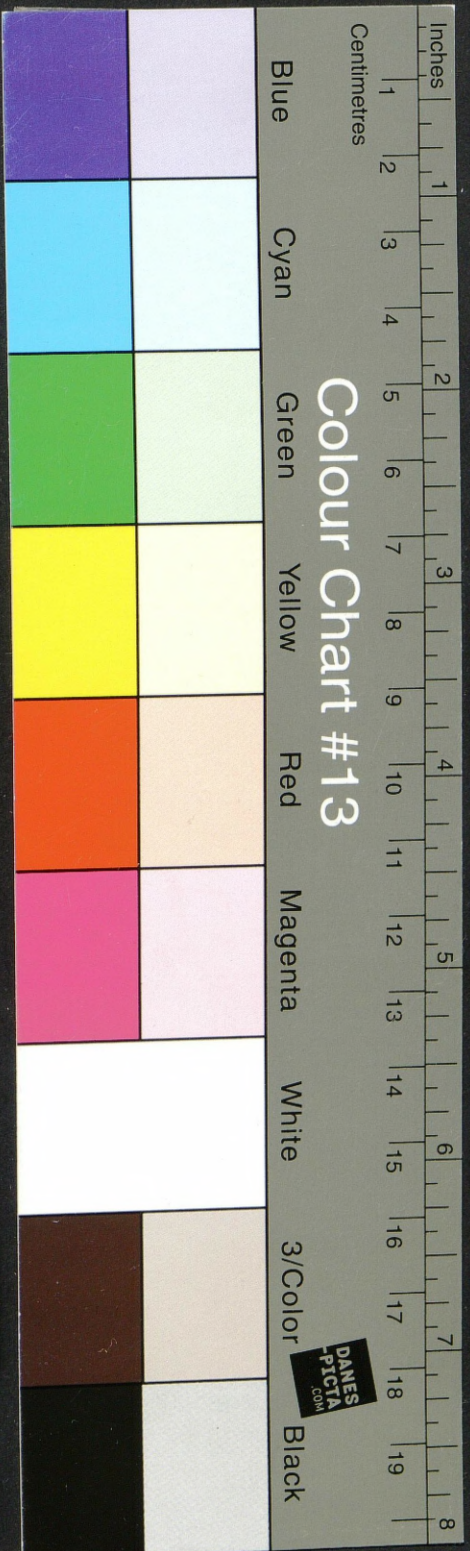
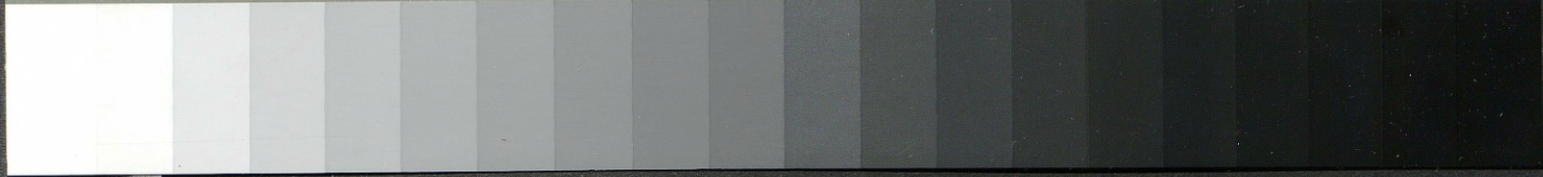


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





L I S T Y.

Listy:

DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ

przez Juliana Mohorta,

DO CUDZEJ ŻONY

przez Klemensa Jungszę.

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.



WARSZAWA.

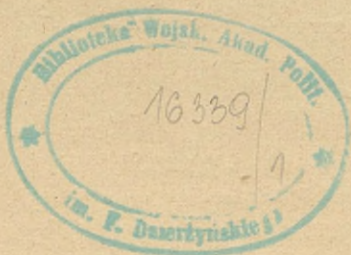
Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Świat, 47

889-9

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Декабря 1897 года.



Listy do „narzeczonej“ i „cudzej żony.“

Dwa pióra wytrawne złożyły się na wiązanek listów na użytek płci nadobnej. Julian Ochorowicz (Mohort) napisał „Listy do przyszłej narzeczonej“ — Klemens Junosza „Listy do cudzej żony“.

Młode małżeństwa znajdują się najczęściej w położeniu doży weneckiego, który, przed wstąpieniem na tron, wyjeżdżał na Adryatyk i rzucał pierścień do morza, nie wiedząc, co zaślubia... perły, alboli potwory.

Rzecz dziwna, z jaką lekkomyślnością zawierają ludzie związki tak ważne, jak małżeństwo, oddziaływające nietylko na losy osób bezpośrednio interesowanych, lecz także na przyszłe pokolenia.

Narzeczeni, którzy się łączą na całe życie, na dołę i niedołę, na wielki nieraz trud i ból, nie uważają zwykle za potrzebne przypatrzeć się sobie bliżej przed ślubem, poznać się lepiej, policzyć swoich sił. Zamiast spojrzeć w głąb swoich dusz, starają się przedstawiać się sobie wzajemnie ile możliwości ze strony odświętnej i bawić się swoim kosztem. Panna nie wie nigdy, jakim jest jej narzeczony po za salonem, a mężczyzna, jaką jest panna. Z chwilą, kiedy narzeczony wchodzi do narzeczonej, „wszystko następuje na ton sztuczny, wstawiają się dekoracje, rozdają role i zaczyna się komedia“.

Tej niczem niewytłomaczonej lekkomyślności naturalnym skutkiem bywają niedobrane stadła, męczące się sobą nawzajem, zamiast się dopełniać.

W sposób bardzo przyjemny ułatwia Ochrowicz przyszłym małżonkom przegląd warunków fizycznych, majątkowych i moralnych—„rachunek sumienia“, który powinien poprzedzić każdy ślub, jeśli związek ma być spółką trwałą i pożyteczną. Nie wielu z pomiędzy naszych znakomitszych pisarzy współczesnych umie temat poważniejszy przedstawić tak lekko, przejrzysto i plastycznie, jak utalentowany

autor „Listów do przyszłej narzeczonej“. Gruntowna wiedza i szeroki widnokrąg poglądów zlały się w Ochorowiczu z poczuciem wykwintnej formy. Jego „Listy“ mogą współzawodniczyć bez obawy z najlepszymi felietonami francuskimi.

Zdaniem Ochorowicza, należy oprzeć szczęście małżeńskie na trzech podwalinach, na: zdrowiu, środkach utrzymania i harmonii duchowej. Każdy z tych warunków zgodnego pożycia dwojga ludzi opracował autor obszernie w osobnym liście, a opracował, zwyczajem swoim, tak przystępnie i wytwornie, iż nawet panny, zepsute lekkostrawną belletrystyką, przelkną „obrazek moralny“ bez przykrości. „Nudnym“ nie jest Ochorowicz nigdy, nawet w dziełach „ciężkich“ — w „Listach“ zaś lśni i błyszczy jego „zrządzenie“, zajmuje i bawi, jak najlepsza nowella.

„Listy do przyszłej narzeczonej“ Ochorowicza dopełniają „Listy do cudzej żony“ Klemensza Junoszy.

Powieściopisarstwo nasze, zwłaszcza francuskie, roi się od nieszczęśliwych żon, zawiedzionych w swoich nadziejach. Autorowie, przerażeni niezwykłą w czasach ostatnich liczbą niedobrych mał-

żeństw, szukają powodów tego niewesołego zjawiska, a szukają ich zwykle tam, gdzie trudno znaleźć przyczyny istotne.

Oto pobrało się dwoje ludzi, którzy posiadają wszystkie warunki do spokojnego, równego szczęścia, bo zdrowie, majątek i ten sam stopień wykształcenia. Optywając we wszystko, co daje dostatek, nie trapieni chorobą i ubóstwem, nie oddaleni od siebie odmiennem wychowaniem, powinni iść przez życie po kwiatach. Tymczasem skarży się pani nasamprzód pocichu, potem głośno, coraz głośniej, że jej źle na świecie, że się rozczarowała, że „należy się jej jeszcze coś od życia“ i t. d.

Autorowie francuscy pocieszają zwykle takie „nieszczęśliwe istoty“ romansem po za domem, mówią wiele o prawach serca, rozprawiają jeszcze więcej o prawach zmysłów, drażnią czytelniczki obrazami rozkoszy fizyologicznych, milcząc zupełnie o obowiązkach żony względem męża, matki względem dzieci, obywatelki względem kraju.

Ze stanowiska innego patrzy Junosza na owe wrzekome nieszczęścia niezadowolonych ze swojego losu małżonek.—Nie dziwcie się poprostu—mówi do

pań, trochę niegrzecznie, ale prawdziwie — bo nie rolicie nic, albo przynajmniej tak mało, iż wam dyletanckie zajęcie nie może wypełnić życia. Zamiast lamentować, że was mąż (nie dosyć tkliwy, za mało nadskakujący, grubianin) zaniedbuje, że zapomina przy pracy o wykwinnych potrzebach waszych wykwinnych upodobań, zdejmijcie z niego część jego trudu, starajcie się otrzeć pot z jego czoła, a owe „wykwintne potrzeby owych wykwinnych upodobań“, owe tęsknoty za szybką z okna, za gwiazdką z nieba, za wiecznym majem miłości, ów nienasycony w stanie małżeńskim głód ciągle nowych wrażeń i wzruszeń okaże się wam wkrótce chorobą wymarzoną, sztuczną, kłamaną.

Nudy — rozkapryszone dziecię próżniactwa — są wistocie źródłem wielu scen gorszących pomiędzy małżonkami tak zw. lepszych sfer, a bardzo często przyczyną separacyi i rozwodów dwojga ludzi, którzy tworzyliby doskonale stadło, gdyby umieli lub chcieli się podzielić zachodami około wspólnego dobra.

Swoje rady i wskazówki, przyodziane w formę listów „do cudzej żony“, ilustruje Junosza umiejętnie

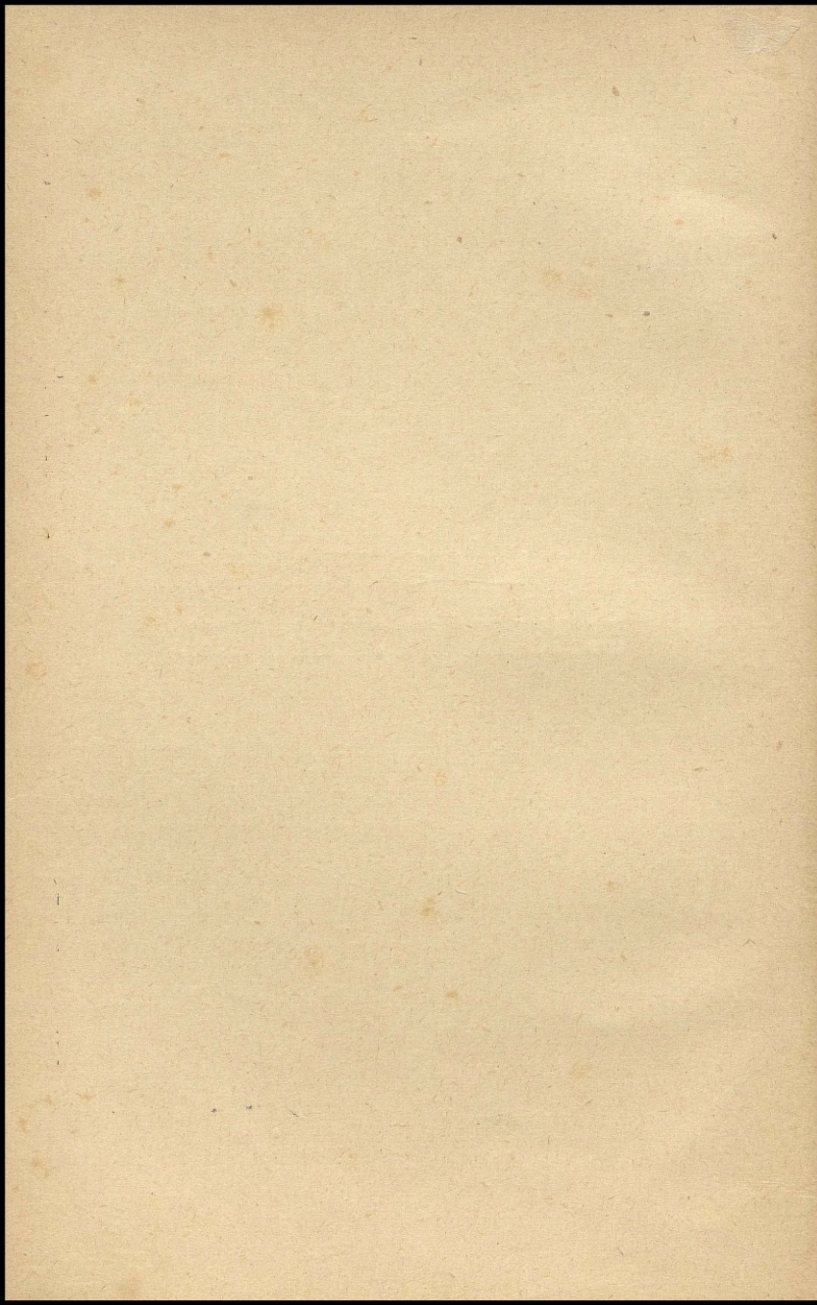
dobranemi przykładami, zaczerpniętymi z życia ludzi ubogich, którzy nie skarżą się, mimo trudnych warunków, na rozczarowanie i zawiedzione nadzieje, lecz starają się ułatwić sobie nawzajem mozolną wędrówkę doczesną.

Ton przyjemnej gawędy, toczącej się gładko, równo, osładza i ten „obrazek moralny“, czyniąc go przystępnym dla kół najszerszych.

„Listy do cudzej żony“ Klemensa Junoszy są nowością księgarską, ukazują się bowiem po raz pierwszy w druku.

Teodor Jeske-Choiński.

LISTY
DO PRZYSZLEJ NARZECZONEJ.



Mało jest rzeczy, w którebym wierzył tak silnie, jak w to, że się kiedyś ożenię. Bo i dlaczegoż nie miałbym być żonatym? Znałem takich, których kwalifikacje matrymonialne ograniczały się do *minimum*, a którzy przecież dziś mają żony, dzieci, mamki, piastunki, pantofle haftowane, rachunki od modniarek nieopłacone i wogóle wszystko to, co człowieka żonatego wyróżnia od reszty śmiertelników. Dlaczegoż miałbym być gorszym od innych?

Kwalifikacyj moich wyliczać nie będę, nie chodzi mi bowiem o reklamę. Wreszcie to, co piszę, ma pozostać wieczną tajemnicą pomiędzy mną a moją narzeczoną; wierzę zaś, iż mnie nie wyda z sekretu, dla tej prostej przyczyny, że moja przyszła jest dopiero idea, widmem, sennym obrazem, któremu godzi się zaufać.

Utwory fantazyi mają przedewszystkiem to do siebie, że nam są wierne aż do grobu; mogą się zmieniać i przeistaczać, ale nas nigdy nie opuszczają;

co więcej, osładzają nieszczęścia, pocieszają w smutku, dodają siły do pracy, zasłaniają przed okiem naszym czarne punkty przyszłości, słowem, są to nasze dobre duchy, o tyle lepsze od zimnej rozwagi, że jeżeli oszukują, jeśli prowadzą do zawodów, to przynajmniej z góry nie uprzedzają. Ba! nawet wmawiają w nas później i przekonywają bardzo łatwo, że one prowadziły dobrze, tylko myśmy ich głosu nie słuchali. Znow więc zaczynasz wierzyć tym pocziwym duchom i całą biedę zwalasz na widoczny rozstrój świata, na przewrotność ludzką, na fatalny zbieg okoliczności.. Czujesz się sam lekkim i niewinnym, otaczają cię nowe nadzieje — a czegoż więcej do szczęścia potrzeba?...

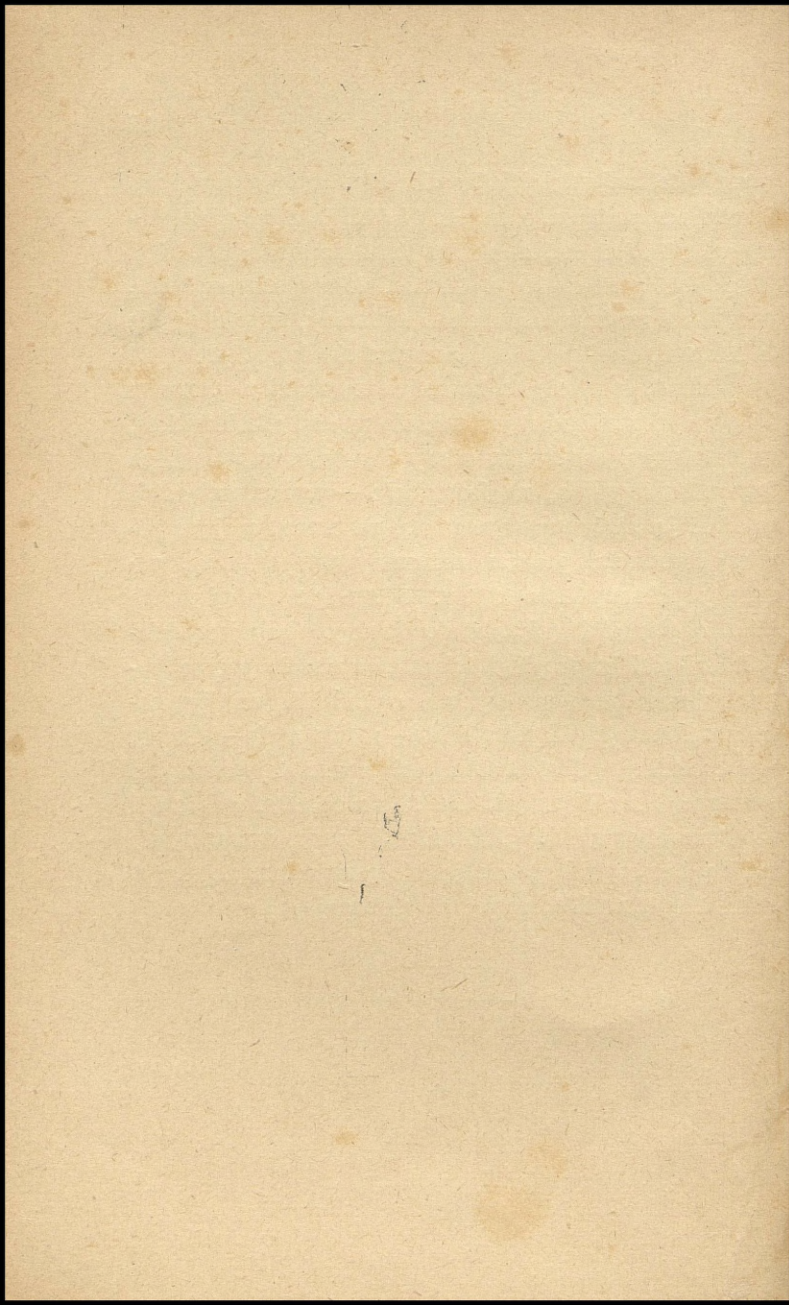
Tak tedy, choćby się to komu miało niepodać, wierzę w obrazy mojej fantazyi, kocham je, kocham moją narzeczoną i, na złość wszystkim pozytywistom, będę z nią korespondował aż do...

Oczywiście aż do chwili, kiedy ją poznam naprawdę. Bo któżby był tak odważnym, żeby korespondować szczerze z prawdziwą narzeczoną? Byłoby to wistocie coś niesłychanego! Na to trzebaby być albo bardzo naiwnym, albo bardzo niedelikatnym; owszem, według przyjętych zasad, narzeczeni powinni unikać bliższego poznania, przedstawiać się sobie wzajemnie ile możności w różowym świetle — w jasnych rękawiczkach, w gazach i iluzyach, sło-

wem, jak najzręczniejsz bawić się swoim kosztem. Panna nie powinna wiedzieć, jakim jest jej narzeczony po za salonem, a mężczyzna nie może wiedzieć, jaką jest panna; bo z chwila, kiedy on wchodzi, wszystko nastraja się na ton sztuczny, ustawiają się dekoracye, rozdają role i zaczyna się komedya.

Otóż, nim się ta komedya zacznie, t. j. zanim idea mojej narzeczonej stanie się panną, uśmiechniętą, poprawiającą co chwila włosy i suknie, mówiącą po francusku i grającą na fortepianie — pozwalam sobie uważać ją za istotę organiczną, rozumną, mającą pewien charakter, pewien naturalny temperament, pewne wyobrażenia o życiu, o swoich obowiązkach jako obywatelki (niezależnie od tego, czy jest dziedziczką wsi z przyległościami), wreszcie pewne potrzeby moralne i materyalne, o których milczy kodeks salonowy. Z taką istotą—rozumie się—idealną, wyobrażalną tylko, wolno mi przecież rozmawiać szczerze, bez ściągnięcia na siebie zarzutu naiwności lub niedelikatności. Jak Hegel porozumiewał się z ideą bezwzględną, tak ja biorę sobie za towarzyszkę względną ideę mojej narzeczonej — i zaczynam





LIST I.

Szanowna pani!

Ty masz lat blisko 20, ja niespełna 30; widzimy się dosyć często, nie uciekając jedno od drugiego, a nawet (racz mi wybaczyć tę śmiałość)—szukając się do pewnego stopnia — bardzo więc być może, że się pokochamy wzajemnie. Jest to wprawdzie hipoteza tylko, która przyszłych wyników nie przesądza, ale rozjaśnia obecny stan rzeczy. Człowiek rozważny powinien patrzeć w przyszłość; zastanówmy się więc nad nią, w tem przypuszczeniu, że mogłaby się kiedy stać prawdą.

Kochać się, to znaczy zaślepiac się wzajemnie; patrzmyż, dopóki mamy zdrowe oczy!

Przedewszystkiem oświadczam pani, że nie mam zamiaru przyczyniac się do skarłowacenia rodu ludzkiego, ani też brać na siebie roli domowej szarytki---

żona więc moja musi być zdrową. Zanim tedy dalej prowadzić zaczniemy niebezpieczną grę towarzyską, racz mnie pani oświecić, czy nie pijasz czasem octu, czy nie nosisz zbyt ciasnych sznurówek, czy nie wykrzywiasz nóg dwupiętrowemi bucikami, czy nie psujesz twarzy różnemi kremami i pudrami, czy nie czytujesz po nocach romansów, wstając o wpół do dwunastej i t. p? W przeciwnym bowiem razie byłbym zmuszony uważać cię raczej za obiekt patologiczny, niż za pannę na wydaniu. Powtóre, radbym wiedzieć, czy nie czujesz pani wrodzonego wstrętu do zimnej wody? Mam bowiem to dziwne uprzedzenie, że kobiety, które dużo używają perfum i olejków (a któż tego nie robi?), nie mają zwyczaju myć się porządnie. Jest to zapewne grubiańskie uprzedzenie, ale trudno mi się z niego wyleczyć.

Racz mi pani wybaczyć, że ośmielę się jeszcze zapytać, po trzecie, czy nie masz pani zbyt delikatnych nerwów? Wrażliwość jest zapewne bardzo cennym przymiotem, ale o ile się wyraża w spazmach i fochach, o tyle mniej jest pożądaną w małżeńskim pożyciu.

Mam nadzieję, że odpowiedź pani wypadnie przychylnie, a w takim razie będziemy mogli przystąpić do dalszych pertraktacyj, nie przerywając naturalnego biegu stosunków.

Racz pani przyjąć zapewnienie najgłębszej bezstronności od chcącego ją poznać towarzysza.

**

*

*

*

Napisawszy ten list, uczułem ulgę na sumieniu.

Mój Boże! żeby tak mieć naprawdę narzeczoną, a przynajmniej projekt na narzeczoną! Zarazby korespondencya realniejszą przybrała postać. A tak... napisałem jeden list i jużem się zbił z tropu. Bo i jak tu pisać drugi, nie wiedząc, jakaby była odpowiedź na pierwszy?

Zacząłem stygnąć w zapale; list drugi jakoś się nie kleił... mijały dni, tygodnie, aż nareszcie...

Był wieczór. Przez okno mojego mieszkania widać było na niebie już tylko dwie czerwone pręgi — resztki zachodu. Nareszcie i te zgasły, miasto ucichło zupełnie, a pokój zaległy ciemności. Tylko dym od fajki, jedynej wiernej towarzyszki kawalerskiego żywota, jaśniał i migotał w promieniu ulicznej latarni, zaglądatajacej mi natrętnie do okna. Siedziałem zatopiony w fotelu, podziwiając tę grę szarych i niebieskawych kłębow, unoszących się ochoczo, jak porywy młodości, a ginących tak marnie, jak moje matrymonialne zamiary. Zdawało mi się, że kłęby dymu dziś piękniej się układają, niż zwykle. W ulotnem ich życiu było tyle fantazyi, cieniów i kształ-

tów, że mimowoli zacząłem je śledzić oczyma. Jedna smuga powiewna wydała mi się ogonem gazowej sukni balowej, inna — welonem ślubnym, w którego zwojach zaczęły mi się ukazywać blade twarzyczki znajomych mi kobiet. Przesuwały się one z wolna, nie budząc silniejszego zajęcia, gdy wtem płomień latarni drgnął, zwoje dymu splotły eteryczne kółko, niby wstęgę srebrzystą, niby wieniec z muślinu, a w głębi tej mistycznej ramki ujrzałem najwyraźniej dwoje czarnych oczu, wpatrzonych we mnie, palących a łzawych.

Gdzie ja te oczy widziałem?!...

Zacząłem myślą przebiegać wspomnienia, i oto, naraz znalazłem się na ostatnim balu w Resursie, wśród dźwięków orkiestry, na tle barwistych ogonów i czarnych fraków. „Tam ją ujrzałem“ — lecz wcale nie rozkochany, byłbym pozwolił jej przesunąć się bezkarnie po horyzoncie mego życia, gdyby nie zdanie jednego znajomego, który ją nazwał najpiękniejszym kwiatem z tego wieńca wdzięków naturalnych i sztucznych. Od tej chwili zacząłem ją śledzić wzrokiem, a trzeba dodać na moje potępienie, że chętnie z nią tańczyłem, nie zdając sobie jednak sprawy z tego, co czynię. W tej chwili czułem, że mogło się to trafić tylko takiemu safandule, jakim ja się stałem, stroniąc od wszelkich towarzysztw kobiecych i towarzysząc moim kuzynkom jedynie z po-

wczucia obowiązkowej grzeczności, od której nie zawsze umiałem się wykreścić. Na dobitek mojego safandulstwa muszę wyznać, że entuzjastyczny wykrzyk znajomego pobudził tylko moje oczy, które bezustannie za nią biegały; ale zamiast większego zbliżenia się, spowodował nawet pewne zażenowanie wobec ponętnej tancerki, którą tymczasem młodzież rozrywała zapamiętałe. Prawdopodobnie z tej właśnie przyczyny, że stałem na uboczu, gdy inni dobijali się o nią, zwróciłem na siebie jej uwagę. Kilkakrotnie rzuciła okiem w moją stronę, jak gdyby chciała powiedzieć: czemuż ten niedołęga nie nadskakuje mi tak jak inni? Ale były to spojrzenia dorywcze tylko; tańczyła bez odpoczynku, śmiała się, żartowała, a mnie tymczasem, nie wiedzieć dlaczego, ta jej wesołość gniewać zaczynała. Powiedziałbym nawet, że wcale mnie nie zachwycali młodzieńcy, którzy najwięcej się starali o zyskanie jej względów, niemniej jednak, z lenistwa, czy też z braku odwagi, pozostałem do końca balu na uboczu.

Od tego czasu widywałem ją dosyć często, coraz bowiem słabiej ulegałem naciskowi moich kuzynek i coraz częściej uczuwałem potrzebę towarzystwa.

Lecz teraz znów się zaczęły samotne wieczorne marzenia przy fajce. Karnawał minął; trzeba było odrabiać zaległe roboty literackie i znów uczulem pu-

stkę wkoło siebie. Dopiero w tej chwili, gdy obłoki dymu pierzchły i gdy zacząłem rozważać sensne zjawisko czarnych oczu, uczulem jakby uklucie elektrycznej iskry i, uderzając się w czoło, zawołałem:

— Płochy młodzieńcze! jakże mogłeś tak przedko zapomnieć!...

Prawda! spotkałem ją nawet wczoraj, gdy z matką wracała z kościoła, a w powitaniu jej przyjaznym, choć krótkim, rozpoznaję teraz cień wyrzutu. I ja mogłem tego nie rozumieć! Nie, tak być dłużej nie może. Gdzie moje kołnierzyki, krawaty, rękawiczki!... Ubieram się i—idę.

Panna przyjęła mnie swobodnie i wesoło, a mama uprzejmie, jak zwykle. Ja, przeciwnie, czułem, że jestem nudnym, byłem jak nieswój, prowadziłem rozmowę zbyt poważnie i urywanie tylko; zdawało mi się bowiem, że wszystko, co mnie otacza, inaczej się dziś przedstawia. Czerwony obrus w białe kwiaty nigdy nie leżał tak krzywo, jak dzisiaj. Wpatrywałem się w jego fałdy, skubałem jego brzegi i czułem nieprzepartą chęć sprostowania jego rogów, tak jak gdybym miał prawo gospodarowania w tym obcym dotychczas dla mnie domu. Gdym spojrział na lampę, żałowałem, że nie filuje, bo miałbym w tem wielką przyjemność, gdybym mógł przykręcić jej śrubkę; czułem, że byłoby to niejako rozszerzeniem moich atrybucji w tym domu. Ale lampa paliła się najprzy-

zwoiciej w świecie, a na stole, zastawionym różnemi przyborami do herbaty, niepodobna było przedsiębrać wspomnianej wyżej poprawki. Wszystko to gniewało jakąś cząstkę mojej duszy; ale najwięcej gniewało mnie to, że mimowoli oglądałem wszystko, co mnie otaczało; zdawało mi się, że powinienem wiedzieć, jaką materyą pokryte są meble i jak są zawieszane firanki. Suknia mojej towarzyszki miała na piersiach dwie ukośne kieszonki, do których co chwila powracało moje spojrzenie. Przypatrywałem im się, mimowolnie przechylając głowę, i to właśnie w chwili, kiedy pytała mnie o wrażenie, jakie zrobiła na mnie primadonna opery, śpiewająca główną rolę w „Aidzie“. Brak związku pomiędzy losem Aidy a ukośną kieszonką z niebieskimi brzegami był widoczny — i to mnie właśnie gniewało. Żałowałem, że nie było kogoś, coby mnie nieznacznie trącił łokciem w bok, przywołując do porządku moje myśli. Tymczasem rozmowa toczyła się równie machinalnie, jak te moje wewnętrzne dystrakcyje i, co gorsza, panna zdawała się zupełnie nie spostrzegać moich dziwacznych myśli, a nawet, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zdawała się być zupełnie zadowoloną z mojej sztucznej konwencyonalności. Nie mogła nie widzieć, że zwykła moja swoboda w rozmowie uleciała, ale to jej owszem dodawało humoru i życia. Mówiliśmy o balach w karnawle, o odczytach w poście, o nowych

powieściach Kraszewskiego, wreszcie — o Serbii i o księżnej Natalii, przyczem we wszystkim zgadzaliśmy się najzupełniej, i to—najłatwiej w rzeczach najtrudniejszych do zgody. Jestem prawie pewny, że i ona myślała zupełnie o czem innym, prowadząc rozmowę na mocy wprawy, z ożywieniem, które musiało powstawać w łonie ukrytych myśli, a na zewnątrz łączyło się z wyrazami. Wyobrażam sobie, że miny nasze musiały być bardzo podobne do tych, jakie mieli Ignatiew i Salisbury na wstępnej konferencji stambulskiej...

— Co z tego wszystkiego wyniknie? — pytałem sam siebie, wracając do domu. — Wojna czy pokój, na wspólności interesów oparty?

Po długim chodzeniu wzdłuż i wszerz moich apartamentów, złożonych z jednego pokoju rzeczywistego i kilkunastu piętter eterycznego gmachu marzeń, postanowiłem przedsięwziąć kroki stanowcze, celem zbadania przeciwnika. Zmęczony chodzeniem, usiadłem przed biurkiem i spostrzegłem na niem „List do przyszłej narzeczonej.“

A gdyby tak, zebrawszy się na odwagę, przemieść urojenie w rzeczywistość?

Odczytałem list, który, rzecz dziwna, zupełnie się nadawał do okoliczności. Spostrzegłem wprawdzie, że to, co uchodziło względem istoty urojonej, razilo w zastosowaniu do prawdziwej panny na wydaniu.

List, jeżeli nie był niegrzeczny, to przynajmniej poszanowaniem form towarzyskich nie grzeszył. Ale co mi tam formy! Człowiek myślący powinien być zawsze w zgodzie z sobą i jeśli uznał za właściwe z głębi przekonania pisać to lub owo do idealnego obrazu swojej narzeczonej, to nie powinien nigdy wstydzić się tego samego wobec kobiety, w której przyszłą narzeczoną przeczuwa.

Za chwilę moje postanowienie skryształizowało się. Przepisałem list i posłałem miejską pocztą.

Zrobiłem pierwszy krok śmiały a ważny: *alea jacta est* — stało się.

Nie będę opisywał niepokojów, przeplatanych uczuciami ufności, gdyż łatwo je zrozumieć; przez dwa dni byłem nastrojony gorączkowo, robota mi nie szła, a rozrywek szukać nie chciałem. Aż oto trzeciego dnia odbieram list następującej treści:

Laskawy Panie!

Jesteś Pan impertynent i spodziewam się, że mnie nadal uwolnisz od swojej korespondencyi.

Równie bezstronna.

*

Przyznam się, że odczytawszy ten list, miałem minę niezbyt inteligentną; byłem — jak to mówią — zdekonfiturowany. Gdy jednakże, obracając list na

wszystkie strony, przeczytałem go po raz drugi, trzeci i dziesiąty, widnokrąg moich myśli zaczął się wyjaśniać. Zauważyłem naprzód, że list był napisany starannie, czysto i z pewnem wykończeniem. Przywołałem na pamięć wszystkie wiadomości psychologiczne, jakie kiedykolwiek zdobyłem, oraz własne doświadczenie w pożyciu z kobietami — i doszedłem do przekonania, że kobieta, któraby chciała tylko pozbyć się natręta, albowy wcale nie odpisała, albowy odpisała niedbale, z lekceważeniem nietylko w treści, ale i w formie. Tymczasem do mnie, z po za pięknych liter liściku, zaczęła się wychylać uśmiechnięta twarz mojej korespondentki, wcale nie licująca z surową na pozór treścią pisma. Zdawało mi się, że słowa: „jesteś Pan impertynent,“ mogły być napisane tylko z uśmiechem na twarzy. Przytem wyraz Pan przez duże, piękne *P*, wcale nie zdradzał gwałtownego oburzenia; po trzeciej, spodziewała się, że ją uwolnię od mej korespondencyi, ale nie od mej osoby... Wreszcie przypisek „równie bezstronna,“ świadczył najwyraźniej, że nie chce być srogą. O tak! — zawołałem radośnie — to jest tylko napomnienie, to nie jest odprawa! Siadłem i zacząłem pisać.

LIST II.

Szanowna Pani!

Wiadomo, że jesteś najpiękniejszą kobietą w Warszawie. Czyżby piękność nie miała być symbolem dobroci? O tak! I gdyby mi przyszło prosić o przebaczenie za krok nierozważny, ręczę, że w niczyjem sercu nie znalazłbym tak wiele wyrozumiałości. Ale tym razem nie myślę do niej się uciekać, nie poczuwam się bowiem do winy. Owszem, to, co uczyniłem, było dziełem długiej rozwagi i — może tylko zbyt wielkiej odwagi. Winienem też dodać, że odwaga ta nie opuściła mnie dotychczas i że postanowiłem przypuścić nowy szturm do... chciałem napisać do serca, ale byłoby to niewłaściwie — owszem, do rozumu Szanownej Pani. Cokolwiek się stanie w przyszłości, nie sędzę, żeby bezstronne rozbieranie konsekwencji obecnych stosunków miało być imper-

tyncencyą. Zbyt wysoko cenię umysł Pani, by wątpić, że to, co powiem rozsądnego, chociażby było nieco dzikiem, nie będzie źle przyjętem; jeżelibym zaś przy tej sposobności i coś nierozsądnego napisał, to mam nadzieję, że Pani raczej błąd mój zbije dowodami, aniżeli moje dobre chęci sumarycznie potępi.

W tej nadziei zaczynam, a raczej — prowadzę rzecz dalej.

Nie raczyłaś mi Pani odpowiedzieć na zapytania co do Jej fizycznej natury; pytania więc te pozostawiam w zawieszeniu i przechodzę do następnych. A naprzód — do kwestyi nieco pokrewnej z pierwszą: piękności fizycznej. Jest ona mniej ważną, niż kwestya zdrowia, ale w stosunkach między obu płciami dotychczas ważniejszą nawet rolę odgrywa.

Młodzi ludzie pobierają się, gdy się sobie podobają wzajemnie. Takim jest normalny proces rzeczy, jeśli wyłączymy z niego to, co jest właściwie anormalnem, chociaż, niestety, zbyt pospolitem, mianowicie — związki dla pieniędzy lub przez próżność. Ale i w tem bezinteresownem podobaniu się cóż głównie wchodzi w rachubę? Czy uznanie dla przymiotów duchowych i cielesnych, dających rękojmię zdrowia? Nie — na to mniej się zważa. Głównym czynnikiem podobania się jest piękność zewnętrzna. Wprawdzie pospolite mniemanie przypisuje przeważnie mężczyznom tylko chęć ubiegania się za piękno-

ścią kobiet; te zaś mówią częściej, iż w mężczyźnie piękność niewiele sobie cenia; zdawałoby się to świadczyć za głębszym poglądem kobiet; ale, niestety — tak nie jest. Świadczy to tylko o większej kapryśności w ich estetycznych poglądach. Mężczyźni nie równie częściej zgadzają się w uznaniu za piękna kobiety, niż kobiety względem mężczyzn. Pierwsi w każdym kółku znajomych mają uznane słońca piękności niewieściej, około których krążą jak planety; drugie, przeciwnie, bardzo często obdarzają swemi względami tych, których bynajmniej ogół mężczyzn za pięknych nie uważa. Ręczę, że gdyby się Pani zechciała porozumieć z przyjaciółkami swojemi co do tego, którzy z aktorów znanych są przystojni lub piękni, a którzy nie, z pewnością trudniejby jej to przyszło, aniżeli mnie porozumienie się z przyjaciółkami co do piękności artystek.

Na zasadzie tych i tym podobnych, nieraz powtarzanych spostrzeżeń, śmiem twierdzić, że u mężczyzn, podobnie jak i u kobiet, podobanie się znajduje podstawę głównie w piękności zewnętrznej tylko, ocenianej stosownie do gustu i temperamentu. Jeżeli zaś tak jest, to wcale nie będzie zbytecznem zastanowienie się nad tem, o ile taki stan rzeczy wytrzymuje chłodną krytykę rozumu.

Dla słodko-kwaśnych moralistów (nie grzeszących — głównie dla braku możliwości grzeszenia) przy-

wiązywanie jakiejkolwiek wagi do piękności zewnętrznej jest bezwarunkowo potępienia godnem. Ale mogę panią zapewnić, że jestem dalekim od tego rodzaju skrupulatności. Dlaczegożby piękność miała być gorszą od niektórych przymiotów duchowych, np. od *delikatności w obejściu*, skoro obie te zalety zarówno przyczyniają się do szczęścia małżeńskiego? Kobieta, posiadająca nabytą przez wychowanie delikatność w obejściu, może nam wynagrodzić brak piękności, która całe życie opromienia; ale jakże blado wyglądałyby sceny przedślubnej życzliwości bez tego uroku, jaki daje przymiot wrodzony: piękność zewnętrzna! Nie myślę tu przeczyć, że piękność ta sama przez się niewiele stanowi, ale też nikt jej nie bierze w życiu, w zupełnem oderwaniu od wszelkich innych przymiotów. Tylko w opisach scen powieściowych może być piękność zewnętrzna brana za wyłączną sprężynę miłości. Młodzieniec ujrzał młodą kobietę, wysiadającą z powozu u wrót teatru, i—zakochał się na śmierć... w powieści, rozumie się. W życiu taka koncentracja wrażeń chwilowych przyjemnych, jako przyczyna namiętności, nie trafia się. Pierwszy widok może zrobić bardzo silne wrażenie, ale dopiero później, przy dalszych, powtórzonych stosunkach, po zupełnem rozwinięciu się uczucia, przez fantazyę dopełniającą przypisujemy mu ten skutek cudowny, do którego dał zaledwie pobudkę.

A przytem nie należy zapominać o jednej bardzo ważnej okoliczności: że piękność zewnętrzna, taka, która jest w stanie wywołać trwalsze uczucie, nigdy nie działa sama przez się, gdyż nigdy nie jest wrażeniem odosobnionem. Piękność, która „chwytą za serce,” dlatego posiada tę własność cudowną, że jest symbolem *piękności duchowej*, że głębokie spojrzenie zdradza głębokość myśli, że uśmiech łagodny znaczy łagodność uczuć, a świeżość lic — świeżość sercowych składników. Nie zapominajmy, że jeśli piękność rysów niekoniecznie idzie w parze z pięknoscią duszy, to jednak nigdy ta ostatnia (jeżeli wyłączymy chorobliwe, od przypadku zależne zboczenia) nie była obserwowaną bez uznania piękności wyrazu twarzy. A właśnie ten wyraz stanowi to, co ludzie w życiu najczęściej za piękność uważają. Twarze martwe, bez wyrazu, monotonne, zawsze jednako nastrojone, chociażby o rysach klasycznych, nigdy nie wywołają silniejszego nad chwilowe uczucie. Ono tam tylko powstać może, gdzie ulegający wrażeniom powierzchownej piękności po za nią odczuwa piękność wewnętrzną, jako treść symbolu.

Nie rzucajmy więc kamieniem potępienia na tych, którzy piękności szukają. Trzebaby wyrwać z serca ludzkiego wszelkie estetyczne skłonności, ażeby w niem zatrzeć to naturalne, od wieków przekazane i, chcemy wierzyć, coraz to podnioślejsze upo-

dobanie. Gdyby mi więc narzeczona moja wymawiać chciała, że ją kocham dla piękności tylko, odpowiedziałbym jej: wynajdź odpowiedniejszy symbol dla piękności duszy, a zrzeknę się tamtego.

Lecz jest tu jeszcze inne niebezpieczeństwo, któremu rozum zapobiedz powinien. Piękność obojętnieje. Jest ona tem dla upodobań estetycznych, czem smaczna potrawa dla podniebienia. Najpiękniejsza melodia, przez cały dzień powtarzana, stanie się nieznośną. Czy to samo niebezpieczeństwo grozi i piękności? Tak wielkie nie — ale zawsze grozi. Nie jest ono tak wielkie, ponieważ piękność twarzy nie jest wrażeniem oddzielnem; nie jest tak prostą kombinacją wrażeń, jak melodia, lecz, co najmniej, tak ziożoną, jak piękność poematu. Tu większa różnorodność wyrazów, niż tam tonów, a o ileż jeszcze większa różnorodność treści wewnętrznej! Słowackiego „W Szwajcaryi“ czytać można i dziesięć razy, coraz nowe odkrywając piękności. Taką tajemnicę odświeżania się, w wyższym jeszcze stopniu, posiada piękność twarzy, gdy jest symbolem duszy. Zmiana myśli i uczuć, coraz to głębszych, coraz to podnioslejszych, coraz to doskonalszych, może w niej odkrywać coraz to piękniejsze uroki i ponęty. Lecz niebezpieczeństwo istnieje przecież, ponieważ taki rozwój, takie urozmaicenie, ograniczone jest niedoskonałością i opornością naszej ludzkiej natury, która

wyrywa się tylko ku kresom ideału, nie mogąc ich nigdy doścignąć. Młodzi ludzie, którzy się chcą pobrać, ponieważ się sobie podobają, winni dobrze rozważyć tę okoliczność. Piękność, działając przez wyobraźnię, stępi z czasem swe strzały. Najpiękniejsza twarz, stawszy się codzienną, stanie się powszednią, i w sercu mogą odżyć dawne skłonności pod wpływem nowej, świeżej twarzyczki. Cóż wtedy? — Czy obowiązek ma walczyć z upodobaniem? Smutny to ratunek! I przyznam się pani, że gdybym, będąc żoną, taką ostateczność w mężu moim przewidział, kto wie, czybym nie wolał prosić go o nierobienie sobie przymusu. Obowiązek!... śliczne to słowo — ale wtedy tylko, gdy się jego ciężaru nie czuje.

Jakże więc zaradzić możliwym następstwom znudzenia się piękności?

W tem miejscu muszę Panią nauczyć jednej rzeczy, którą umiesz lepiej odemnie, tylko zapewne sama o tem nie wiesz. Robi się to tak. Dzieli się wszystkie możliwe, terażniejsze i przyszłe uroki piękności fizycznej, połączonej z duchową, na tyle części, ile chwil życia mamy przeżyć z sobą. Stosownie do uposażenia naturalnego i tego, które dało wychowanie, wielkość części będzie różna, lecz nigdy nie jest tak źle, aby przy starannem zebraniu zasobów, pierwszy zapas nie wystarczył na pierwszy rok pożycia małżeńskiego. Trzeba tylko o tem pa-

miętać (co kobiety o szlachetniejszej organizacyi wiedzą doskonale, albo raczej co spełniają instynktownie), że rozdzielanie uroków powinno być homeopatyczne, że powinno się najściślej stosować do okoliczności, że nigdy z góry nie należy szafować niemi zbyt hojnie, nigdy nawet tyle, ileby tego sam małżonek pragnął; zawsze... choćby o $\frac{1}{100}$ mniej. — Będzie się gniewał, powiesz Pani, będzie wymawiał obojętność?

— A niech się gniewa, niech wymawia. Takie gniewy kończą się prędko, a prędzej jeszcze skończyłaby się rozkosz, gdyby jej było za wiele. Zresztą, gdy chwila jest groźną, wolno żonie powiększyć dozę oznak miłości, powiększyć tak, żeby różnica pomiędzy ich pragnieniami wynosiła już nie jedną setną, ale tylko jedną tysięczną.

— Lecz zkąd wziąć zasobu na dalsze lata? — zapytasz Pani może z filuternym uśmiechem niewiedomości.

— Rok drugi, przy zwykłej kolei rzeczy, powinien nietylko sam dla siebie wystarczyć, ale jeszcze i innym coś w spadku pozostawić. Żona, zyskawszy pomoc w dziecięciu, dwa razy silniej przywiązać męża potrafi, niż samym urokiem własnej piękności. Zresztą, na dalsze lata powinna ona i na innej drodze gromadzić zasoby uroków, które nietylko dawnych nie zatra, ale jeszcze wzmocnić je potrafią. Tą inną drogą jest *praca nad ulepszeniem*

własnego charakteru. Piękność zewnętrzna z natury rzeczy zacierać się musi; lecz skoro, jak widzieliśmy, jest ona, dla prawdziwie kochającego, tylko symbolem piękności wewnętrznej, treść więc jej zmienić się nie powinna i nie zmieni się, jeśli tylko wraz z zacieraniem się symbolu, który dała natura, powstawać będą inne, doskonalsze jej objawy, jakie daje sztuka — nie ta, która każe przedrzeźniać świeżość młodości, przy pomocy materiałów kosmetycznych, ale ta, która prawdziwie doskonali — *sztuka własnego kształcenia się.* Ażeby do niej znaleźć siłę, potrzeba na to tak potężnego motoru, jakim jest szczerą, głęboką miłość. Ona jedna zdolna jest zmusić najkapspryśniejszą kobietę do ustępstw, najleniwszą — do pracy, napróźniejszą — do poważnego i rozsądnego działania. Ale mając tak potężną broń w ręku, jakże często zapominamy z niej korzystać, jakże często najbardziej urocze miesiące małżeńskiego pożycia pozostają bez śladu, gdy się je za cel, nie zaś za środek uważa! Wziąć je za cel małżeństwa, znaczy zatruć sobie dalsze pożycie; wziąć je za środek, znaczy zapewnić sobie trwałe szczęście. Jeżeli nie zawsze się tak dzieje, czyjaż wina: męża, czy żony? — obojga; mąż bowiem powinien był korzystać z niepowrotnej chwili i użyć miłości żony do wyrobienia w niej tych przymiotów charakteru, które uważa za warunek szczęścia w dogonnej swojej towarzyszcce;

żona zaś powinna była już pierwej, jako posiadająca stosunkowo większy wpływ na narzeczonego, niż on na nią, dążyć do wytworzenia tej harmonii, tego zobopólnego ulepszenia charakterów, bez którego szczęście będzie chwilą tylko.

A teraz pozwól mi Pani na zakończenie wypowiedzieć parę uwag o piękności męskiej. Wiadomo, że najwrażliwsze na nią są panny piętnastoletnie i sięgające trzydziestki a zapominające o dzieciach, męzkatki. Pierwsze — dlatego, że nie wiele więcej widzą w mężczyźnie, drugie — dlatego, że często nie chcą widzieć nic więcej; ale u pierwszych jest to objawem naturalnym, u drugich — chorobliwym. Młoda panienka musi przejść epokę, w której ze wszystkiego żartować gotowa, w której jednych kawalerów „nienawidzi,“ drugich w cichości serca „ubóstwia;“ motorem zaś tych wrażeń, przy stosunkach pospolicie praktykowanych, może być tylko powierzchowność. „Kocha się“ więc w aktorach, śpiewakach, lekarzach, wojskowych i artystach, których zaledwie kilka razy widziała, ale których wąsy, broda lub faworyty magnetyczny pociąg na nią wywierają; miesza się, gdy kto wspomni o przedmiocie jej cichych westchnień i, na podstawie powieściowych wiadomości, gotowa jest uwierzyć, że się kocha naprawdę. Niektórzy nazywają to pierwszą miłością, ale jest to właściwie dopiero uwertura do pierwszej miłości,

w której motywy całej sztuki, mającej być w przyszłości odegraną, płaczą się w idealnie chaotyczną całość. Panny, głębszą umysłowością obdarzone, przechodzą zwykle w stadyum, które się charakteryzuje powagą i rzewnością usposobienia, o ile tamto prze-ważnie wyrażało się w śmiechach, żartach, przyjacielskich zwierzeniach i krótkotrwałych westchnieniach. W tym drugim okresie nietylko już sama piękność, ile raczej sposób obejścia mężczyzny imponuje. Serce, które gwałtem chce kochać, wierzy pochlebnym słówkom, wierzy w trwałość gwałtownie gorących wyznań, w ubóstwiający apostrofy, najczęściej nieortograficznie pisane, i w przeciągłe spojrzenia, przesywające aż do głębi. Panna staje się w domu milczącą, poważną, często zamyka oczy, aby w myśli ujrzeć obraz ubóstwianego Apollina, chowa zwię-dle listki przyniesionej przez niego róży; jest przekonana, że umrze, jeśli rodzice na związek nie pozwolą, śnią się jej trumny obok ślubnych sukni, traci apetyt, staje się szorstką względem starszych i często wzdycha do klasztoru. Takimi są bohaterki ro-mansów, pisanych przez bardzo młodych autorów, jest to rzeczywiście pierwsza miłość — miłość barwista jak skrzydła motyla i jak one krucha; a przecież nie było na świecie kobiety, którejby się ta pierwsza mi-łość nie wydawała najtrwalszą i najsilniejszą!

— Cóż dalej? — zapytasz Pani.

— Dalej... loterya miłości rozgrywa się dwojako. Albo to samo uczucie, na wrażeniach powierzchownych oparte, staje się głębszem i spokojniejszym przy bliższem poznaniu tej samej osoby, i wtedy z uroczemi złudzeniami młodocianego serca łączą się trwalsze upodobania dojrzałego wieku — albo też po mniejszym lub większym zawodzie, uczucie przenosi się na inną osobę, przybierając również poważniejszy i głębszy charakter. W obu tych razach piękność mężczyzny schodzi na plan drugi: albo w tem znaczeniu, że kobieta wybiera tego, któremu dopiero jej uczucia miłości, szacunku i przyjaźni piękność w jej oczach nadają — albo też, że poprostu, nie uważając nawet ulubieńca za pięknego, kocha w nim wyraz godności męskiej, delikatności obejścia, serdecznego przywiązania i czysto osobistych przymiotów moralnych, w których czuje zapewnienie swego szczęścia, chociażby nawet wielu innych za nierównie piękniejszych uważała. To już jest kwestya usposobienia. Jedna nazwie pięknym ulubieńca dlatego, że go kocha; inna dlatego właśnie że kocha, wcale tej kwestyi rozbierać nie będzie — ona patrzy na niego zupełnie innemi oczami i dlatego nawet nie uważa za właściwe porównywać go z innymi. Gdyby ją zapytano, którego z dwóch młodych mężczyzn uważa za piękniejszego, powiedziałyby: ten jest ładny, a tego kocham. A czy wiesz Pani, że wcale z tego nie

wynika, iż ten drugi jest mniej przystojnym? Miłość bowiem — to wszechstronna czarodziejka; ona umie zarówno brzydkie rysy upiększyć, jak i piękne na inne, nieokreślone przerobić, które wówczas przestają już być pięknymi lub brzydkimi, a stają się tylko... kochanemi.

Jednakże... jest i tu owo nieszczęsne „jednakże.“ Twarz, przez większość uznawana za piękną, jak i ta, którą miłość piękną uczyniła, jak i ta wreszcie, którą taż miłość z pod zwykłego kryterium piękności usunęła — może znużyć, może się nawet stać nienawistną, jeśli nie będzie między małżonkami tego nieprzerwanego stosowania się do siebie, tego bezustannego kształcenia się pod wzajemnym wpływem, o którym wspominałem, a które powierzchowne wrażenia urozmaica, i to zupełnie niezależnie od tego, czy mężczyzna był istotnie pięknym, czy tylko miłość pięknym mu być kazala. Powiedziałbym nawet, że w tym drugim razie gwarancje miłości są silniejsze, bo się opierają na samem uczuciu, nie zaś uczucie na wrażeniach powierzchownych. Ale w jednym i drugim przypadku, ponieważ kobieta sama najczęściej nie czuje tej różnicy, dobrze więc rozważyć powinna, czy czasem powierzchowność narzeczonego nie znuży jej kiedyś, czy nie odżyją nowo dawne marzenia o pięknych bohaterach salonowych, których sam widok chwilowo lub dłużej upaja.

Chciałbym wiedzieć, co pani sądzisz o tych moich pokornych uwagach, i w tym celu, jako niepoprawny grzesznik, przesyłam Jej powyższą pogadankę, z nadzieją lepszego niż pierwszej skutku.

Szczerze życzliwy

**

Ku wielkiej mojej radości, przeciwniczka moja tym razem nie kazała długo czekać na odpowiedź. List przyszedł we dwa dni — podobnie jak pierwszy starannie zaadresowany, w ozdobnej kopercie, z uważnie wyciśniętą pieczętką, ale właśnie ta pieczęć, której na pierwszym liście nie było, zaczęła mnie niepokoić. Przez chwilę obracałem list w palcach, bojąc się rozdrzeć kopertę, pod którą ukrywał się jeden tylko arkusik, zapewne nie więcej od pierwszego zawierający... Żeby tylko nie dwa wiersze, owe przerażająco krótkie dwa wiersze!...

I w tej chwili uczulem, że ów lekki ton, poważny spokój i mniemana obiektywność, jakimi nacechowałem moją nieproszoną korespondencję, były tylko wysiłkiem woli wobec budzącego się uczucia...

Otworzyłem kopertę — i, o radości! było w niej więcej niż dwa wiersze. List zawierał co następuje:

Szanowny Panie!

Nie przyznajesz się Pan do poprawy, a jednak jest ona widoczną — list bowiem drugi jest już napi-

sany, jak się należy i pozwala mi zgodzić się na odbieranie dalszych, z jednym tylko warunkiem: oto musisz Pan zezwolić na pokazywanie ich mojej Mamie. Co zaś do mego zdania o pańskich uwagach, to przede wszystkim czuję się w obowiązku nadmienić, że nie jestem najpiękniejszą kobietą w Warszawie i że człowiek rozumny nie powinien się uciekać do komplementów, jeżeli chce zasłużyć na zaufanie. Mam nadzieję, że innych uwag zechcesz pan osobiście wysłuchać.

Szczerze życzliwa

*

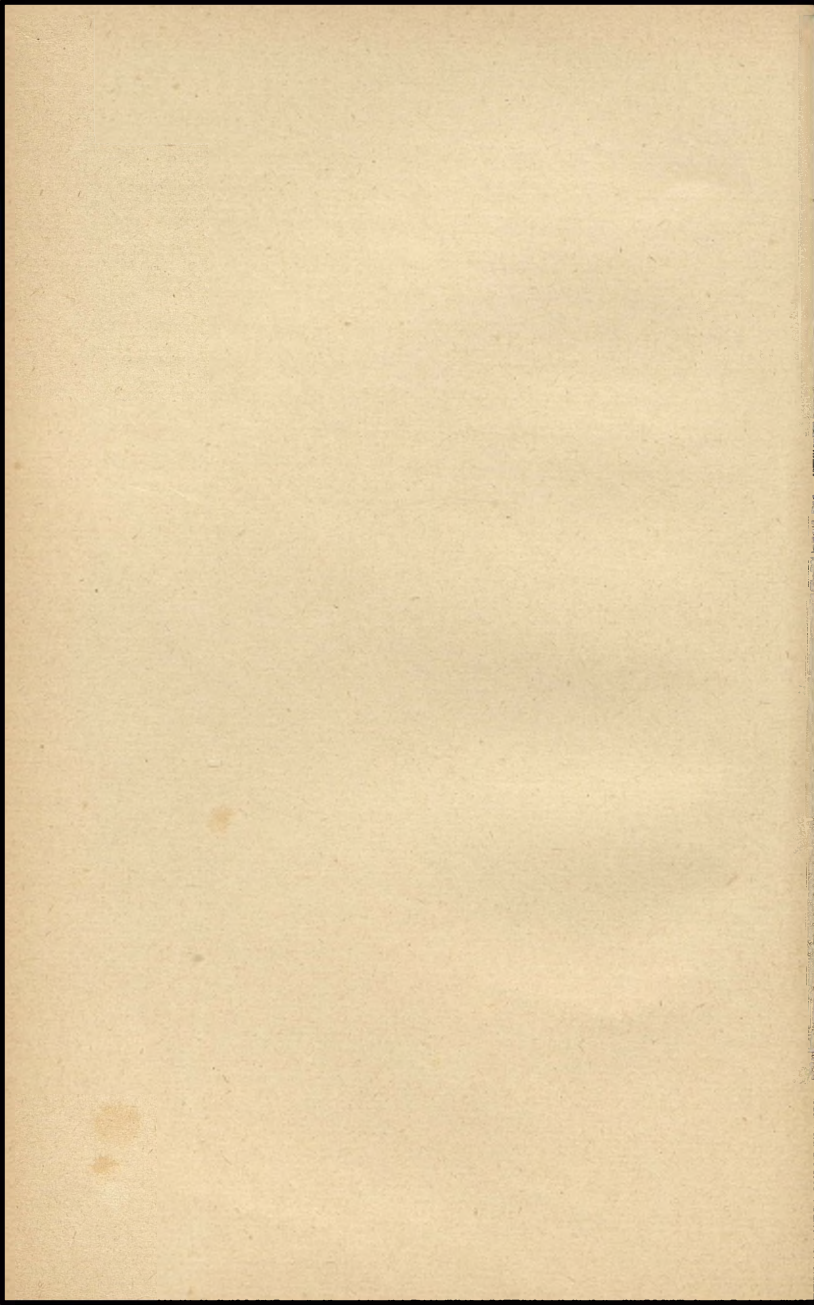
— Twarda panna—pomyślałem sobie—niby to głaska, a tymczasem zimną wodą oblewa; grozi mamą, a jednak przyciąga. One wszystkie takie.

Ale wypowiedziawszy to zdanie, uczułem coś w rodzaju wyrzutów sumienia... Nie, ona nie jest taką, jak wszystkie... Po pierwsze, jakże mało kobiet zdobywa się na taką treściwość; gotów byłem uznać wszelkie przymioty w kobietach, ale tego jednego nie spotkałem dotychczas; już to, między nami mówiąc, taka naturalna łatwość wysłowienia się i wypisania, jaką one posiadają, rzadko nam się dostaje w udziale; ale też biada ci, nierozważny literacie, jeśli z takim wymownym okazem wdasz się w towarzyską dysputę: zasypie cię wyrazami i żywcem zakopie, zanim się zdołasz zorientować w sytuacji.

Pytasz się, w nadziei, że otrzymasz odpowiedź tylko, a tymczasem musisz wysłuchać całej prelekcji, przypominającej i „Listy z podróży“ Kremera i powieść i pani Ilnickiej. Ściskasz to wszystko razem i ostatecznie nie wiesz, o co chodzi. Tem gorzej dla ciebie, jeśli jesteś profesorem szkoły żeńskiej i musisz poprawiać wodnisto-poetyczne elukubracye dorastających panien, na temat „piękności w naturze“ lub „powołania kobiety.“ Ale biada ci potrzykroć, jeśliś został redaktorem pisma! Całe fury rymowanych i nierymowanych deklamacyj, okrutnie rzewnych, kropkami i wykrzyknikami przepelnionych powieści, artykułów tłómaczonych i oryginalnych, treści moralno-kaznodziejsko-filozoficznej, o posłannictwie, o poświęceniu, o wychowaniu, o muzyce i estetyce, zasypią twoje biurko, a wszystko to musisz przejrzeć do jutra i wydrukować w najbliższym numerze, bo pełnoletnia i bardzo wymowna panna X. ma ci dać na drugi numer coś nowego, równie będącego „na czasie“ i równie obfitego w piękne zwroty, jak ubogiego w treść rzeczywistą.

Moja korespondentka widocznie innego jest pokroju. Pisze krótko, a rąbie aż miło. Co więcej, zauważyłem, że nie używa nad miarę wykrzykników i kresek, a natomiast wierzy w przecinki. Młoda panna, która nie lubi komplementów i wierzy w przecinki! Takiej dotychczas nie znałem.

Jedna tylko rzecz nie podobała mi się w liście. Ta mama przyzywana do pomocy, czy też dla bezpieczeństwa, wcale mi nie trafiała do przekonania. Cierpiałem na myśl, że mogła czytać mój list pierwszy. Jak też można było wypisywać takie rzeczy pannie, do której się niema najmniejszego prawa! Ale stało się — skrupuły przyszły po niewczasie. Wszystko to jednak, połączone z konfuzyą za niewczesny komplement, o tyle zbiło mnie z tropu, że postanowiłem nie pójść, mimo zaproszenia, i poprzestać na przesłaniu trzeciego listu, nie dając poznać zmieszania.



L I S T III.

Szanowna Pani!

Serdecznie dziękuję za pozwolenie i nie mam nic przeciw życzeniu Pani. Prowadząc zaś dalej moje pogadanki, ośmielam się zająć Jej uwagę kwestyą stosunków między małżonkami, czyli wspólnego ich pożycia — chciałbym bowiem, ażebyś Pani знаła moje w tym względzie zapatrywania.

Kolega mój od polityki ma zwyczaj zaczynać ważniejsze swoje artykuły w ten sposób: „Są chwile w życiu pojedynczych jednostek, zarówno jak i całych społeczeństw“... Zacznę i ja podobnie, chociaż nie będę tu rozstrzygał losu narodów, ani dawał rad Bismarkowi. Chodzi mi poprostu o tę chwilę w życiu jednostki, kiedy po raz pierwszy uczuwa, że jest właściwie połową tylko i że potrzebuje znieść mianownik przez pomnożenie licznika. Otóż ta właśnie ope-

racya jest kwestyą nielada, gdy chodzi o życie, nie o cyfry — o treść, nie o formę. Chciałbym Pani wyjaśnić, jak mnie się ona przedstawia w swojej idealnej postaci.

Małżeństwo jest stowarzyszeniem różnych sił do wspólnych celów.

Mężczyzna przedstawia siłę uzdolnienia i pracy, odnoszących się przeważnie do stosunków pozadomowych. Kobieta zaś — siłę uzdolnienia i pracy, odnoszących się przeważnie do stosunków domowych.

Cele wspólne są samolubnej i towarzyskiej natury. Pierwsze polegają na powiększeniu sumy wrażeń przyjemnych, szlachetnej treści, a tem samem na podniesieniu szczęścia osobistego; drugie — na łatwiejszem i wszechstronniejszym spełnianiu obowiązków narodowych i ogólnoludzkich, będących zadaniem jednostki, żyjącej w społeczeństwie.

Nareszcie warunkami do osiągnięcia tych celów przez siły skojarzone są:

- 1) Zdrowie,
- 2) Środki utrzymania,
- 3) Harmonia duchowa.

O pierwszym z tych warunków wspomniałem już, mówiąc o narzeczonych. Jest on dziś tak mało brany w rachubę, jak niegdyś harmonia duchowa, gdy prawie wyłącznem jej poręczeniem było obowiązkowe posłuszeństwo żony względem męża. Dziś,

kiedy ściślej uznajemy zależność duszy od ciała, kiedy rozwój higieny dał nam w ręce środki zapobiegania chorobom, dziś, kiedy tyle się prawi o fizyologii, wartoby też więcej zwracać uwagi na ten podstawowy warunek małżeńskiego szczęścia. Nie mogę tu wdawać się w niektóre szczegóły, ale dość wspomnieć, jak wiele istnieje małżeństw, w których kobieta, pełna zrazu miłości dla oblubieńca, dotkniętego chroniczną, choć z pozoru niewidzialną chorobą, w lat parę z nienawiścią opuścić go musiała, albo też wlec wstrętne kajdany wspólnego pożycia, udając twarz wesółą przed ludźmi. Sądzę, że bezwarunkowo prawo powinno rozciągnąć dozór nad zawierającymi się małżeństwami i, podobnie jak nie wolno jest zabijać lub zniesławiać, tak niechże też zakazane będzie lekkomyślne zatruwanie życia nieświadomej istoty, krzewienie kalek i gangrenowanie społeczeństwa. Tam, gdzie dziś powołany jest ksiądz tylko, powinien być powołany obowiązkowo i lekarz, bo wtedy będzie można zapobiedz przynajmniej tym faktom, w których najmniej przenikliwy lekarz może przewidzieć tylko szereg nieszczęść i udręczeń

Z drugiej strony należałoby oświecać młode panny i skłaniać do poważniejszego patrzenia w przyszłość. Serce ich przecież odczuwa przyszłą boleść matki nad łożeczkim lub trumną dziecięcia; a czy mogłyby lekkomyślnie psuć własne zdrowie nieroz-

sądnem krępowaniem i wyniszczaniem ciała dla względów mody, gdyby wiedziały, iż z tych małych przyczyn, z tych drobnych wykroczeń przeciw prawom rozwoju i higieny składają się potem: choroba matki, śmierć dziecka, lub choćby tylko kwasy domowe? Czyż mogłaby panna, idąc na bal, sprzeczać się z matką o to, czy wziąć mniej estetyczne a ciepłe, czy też lekkie i gustowne, ale niedostateczne okrycie na odsłonięte piersi lub cienkim trzewiczkiem pokryte nogi — gdyby wiedziała, że tu chodzi o wybór pomiędzy powierzchownym i chwilowym wdziękiem, którego może nikt nie zauważy, a przysłem jej szczęściem?

Pojmuję to doskonale, że miłość, ta wszechpotężna czarodziejka, może wszystko osłodzić, nawet wieczną chorobę, nawet nędzę; ale czyż istota rozsądna powinna narażać się samowolnie na utratę tych warunków, które w znacznej mierze o szczęściu stanowią?

Przechodzę do drugiej kwestyi: majątku. Nie rozumiem przez niego kapitałów męża lub żony, które mogą być większe, mniejsze lub prawie żadne, stanowiąc tylko o większej lub mniejszej stopie życia, ale raczej te środki przeciętne, niezbędne, bez których w pożyciu małżeńskim miejsce spokoju i pogody zajęłaby troska i udręczenie. W tym względzie jestem równie przeciwnym nierozważnym zobowiąza-

niom, jak w kwestyi zdrowia. Rozumiem, iż majątek sam przez się nie stanowi szczęścia; rozumiem, że trudno jest ręczyć za przyszłość i że największa przeczność nie może nieraz zapobiedz kłopotom, które zresztą, jeżeli są wyjątkowe lub niezbyt doniosłe, potęgają tylko serdeczną ścisłość duchowego stosunku pomiędzy żoną a mężem; ale chodzi mi o to, *ażeby łączenie się ludzi, nie posiadających żadnych uzdolnień praktycznych, chlebobajnych, uważane było za równie występne, jak łączenie się osób chorowitych, z góry skazanych na mizerną, szpitalną wegetację.*

Nie słyszałem też, by w krajach, gdzie istnieją ograniczenia prawne dla osób, nie posiadających dostatecznego utrzymania, ograniczenia te uważane były za niestosowne, za despotyczne krępowanie życzeń jednostkowych życzeniami państwa. Sądzę jednak, że tu chodzi nietylko i nie tyle nawet o wysokość dochodów w danej chwili, ile raczej o uzdolnienie do zdobycia ich — że więc ograniczenia nie powinny polegać na martwym sprawdzeniu lub poręczeniu takiego a takiego dochodu, lecz na uznaniu, które zresztą bez osobnych egzaminów małżeńskich osiągnąć można — na uznaniu możności pracy produkcyjnej w jakimkolwiek zawodzie. Ja na przykład, marny literat, czułbym się pokrzywdzonym, gdyby mi prawo odmówiło ślubu na tej zasadzie, iż nie mam żadnego

stałego dochodu. Nie należąc bowiem do żadnego pisma wyłącznie, nie mam stałej pensyi, ani stałej roboty, lecz piszę i drukuję, kiedy mi się podoba, biorąc mniej lub więcej od wiersza, co mi przynosi w jednym miesiącu 25 rs., a w drugim 250 rs. Jeżeli się ożenię, będę pracował więcej, przyjmę jakieś stałe zobowiązania, ale co komu do tego, że dziś nie mam stałego utrzymania, skoro mogę złożyć dowody możności pracy i możności zarobku? Gdyby prawo nie oparło się na tej zasadzie, niejednen z głośnych powieściopisarzy, który w życiu swoim tyle małżeństw skojarzył na papierze, dlatego tylko, że nie jest jakimś referentem, sekretarzem lub czemś podobnem, nie mógłby zawrzeć rzeczywistego ślubu ze swą ukochaną, która pewno dostarczyła mu niejednego motywu i niejednego rysu do powieści, a tem samem była zarazem jednym ze źródeł jego dochodu. Nie, takim barbarzyńcą nie jestem. Niechaj ludzie klepią biedę, kiedy chcą, niech jej tylko nie klepią z konieczności, choćby nie chcieli. Prawodawca od tego ma rozum, a ludzie od tego mają prawodawcę, ażeby nieraz mogli nie mieć rozumu, a jednak nie mogli popełnić głupstwa.

Co zaś do utrzymania po zawarciu małżeństwa, to środkiem jego powinna być zarówno praca męża, jak żony. Nie mówię tego w tem znaczeniu, ażeby żona miała koniecznie pracować po za domem, gdyż,

jak wspomniałem, siły są różne — a wewnętrzna praca żony, wyrażająca się w gospodarności, porządku, dobrobycie domowym, równie jest niezbędną, jak praca męża. Uważając małżeństwo jako spółkę, częścią ekonomiczną, chociaż przeważnie duchowej natury, muszę żądać wspólnej pracy, to znaczy — odpowiedniego jej podziału. Jeśli mi Pani na to odpowiesz, że żądanie to nie może dotyczyć wszystkich, ponieważ w małżeństwach majątnych kobieta nie potrzebuje się sama zajmować domem, to ja ze swej strony ośmielę się zaprzeczyć temu. W gospodarstwie ubożem, a więc małym, żona pracuje sama — w gospodarstwie zamożnym, a więc większym, może i musi się wyręczać innymi, ale bynajmniej nie przestaje również zajmować się domem; o ile bowiem zmniejsza się różnorodność pracy ręcznej, o tyle zwiększa się zakres pracy nadzorczej. Tylko więc rodzaj zajęcia z bardziej ręcznego staje się umysłowym. Nie uwierzę też nigdy, ażeby żona, czy to średniego, czy zamożnego małżeństwa, która ma dosyć czasu na codzienne wizyty, bale i koncerty, była dobrą żoną. Niech sobie kto mówi, co chce — dobra żona przede wszystkim czuwa sama nad wspólnym domem, a na to potrzeba czasu, bo to jest praca tak dobrze, jak naczelnika w biurze, albo inżyniera na kolei. Nie ubliżyłoby jej też wcale, gdyby przytem posiadała jakąś umiejętność praktyczną, któraby bez uszczerbku

dla zajęć domowych mogła być rozrywką, a w potrzebie i źródłem zarobku.

W kwestyi majątkowej jestem za zupełnem oddzieleniem kapitałów żony i męża. Ponieważ jednak małżeństwo jest spółką, wolno obojgu częściowo i za wspólną zgodą używać własnych funduszków na cele, wymagające większego nakładu, ale stałem źródłem utrzymania powinien być tylko dochód męża i procent od kapitału żony. W ten tylko sposób może być ta ostatnia zabezpieczona od nędzy, gdy mąż wskutek nieprzewidzianych okoliczności, albo wskutek zagalopowania się w przedsiębiorstwach, nieraz bez żadnej złej woli, straci wszystko. Ograniczanie się więc rozsądne w użyciu posagu przez męża, jest konieczne, i za takie też uznane być powinno przez prawo zwyczajowe. Gdyby było powszechnem, nie byłoby przedewszystkiem tylu małżeństw dla pieniędzy tylko, na czem się kobiety zwykle za późno dopiero poznają — i nie byłoby tylu bankructw strasznych, jedynie przez nierozważne użycie posagu spowodowanych. Smutna to już bardzo okoliczność, jeżeli mąż potrzebuje obdłużyć kapitały żony, żądając jej poręczenia lub pieniędzy — można ją tolerować, o ile w danej chwili stanowi jedynie ratunek, ale trzeba jej unikać zawczasu przez rozważny rozkład wydatków.

Cóż powiedzieć, jeśli już nie mąż, który, utrzy-

mując dom, prędzejby mógł być usprawiedliwionym, ale żona, zamiast oszczędzać i strzedz wspólnego dobytku, marnuje grosz ciężko zapracowany na ogońaste jedwabie, broszki, koronki i koki; kiedy miłości męża używa nie na ulepszenie jego charakteru, lecz na wyzyskanie stron słabych? Lecz przedmiot to oklepany, a przytem trąci kazalnicą — dajmy mu pokój.

Chciałbym tylko poruszyć tu jeden punkt, od którego, zdaniem mojem, zależy w znacznym stopniu szczęście małżeńskie, a który zarazem rzuciłby światło i na *kwestye zbytków w małżeństwie*. Głównie obwiniamy o nie kobiety. Czy słusznie? Nie sędzę. Pominąwszy owe, potępienia godne, wybryki bezmyślnych kobiet, większość ich w części tylko jest winną. Rozważmy bowiem, dlaczego kobieta tak często nie czuje występności swego marnotrawstwa?

Niepodobna jest być oszczędnym, nie znając wartości pieniędzy. A panny nasze czy ją znają? Czy nie jest pospolitem, że panna dorosła w domu nie ma żadnych swoich, przez siebie w jakikolwiek bądź sposób zarobionych pieniędzy, że wszystko dla niej sprawiają rodzice, że tylko oni za wszystko płacą i o wszystkim pamiętają? Zkądże, pytam się tedy, panna, nie mająca najmniejszego pojęcia o dochodach ojca, o wydatkach rodziców, nienauczona praktycznie, doświadczalnie, jak i wiele potrzeba pracować, ażeby mieć sto rubli — zkąd panna taka może mieć poczu-

cie rządności i oszczędności? Ona w takiej szkole uczy się tylko jednej rzeczy: wypraszenia sobie nowych sprawunków przymileniem i pieszczotami — a czyż można jej brać za złe, że nie czując wewnętrznie, doświadczalnie wartości pieniędzy, chce sobie uprzyjemnić życie w sposób, jaki uważa za najlepszy?

A teraz zobaczymy, jaka jest różnica tam, gdzie panna rozsądnie jest wychowaną. Oto przedewszystkiem z chwilą, gdy zaczyna dojrzewać, nie uważają jej wyłącznie za kosztowny okaz panny na wydaniu, za lalkę z wystawy sklepowej, lecz za przyszłą gospodynię, żonę, matkę i obywatelkę. Pozwalają jej wiedzieć o wszystkich pożytecznych dla niej szczegółach, dotyczących majątkowego stanu rodziców; dziewczęciu to pochlebia i budzi szlachetną dojrzałość poglądów. Matka wspólnie z córką dzieli kłopoty zarządu, obznajmia ją z tem, ile co kosztuje i jak można oszczędnie, a jednak porządnie gospodarować, — uczy ją doświadczeniem, jak za te oszczędzone pieniądze z funduszków, danych na dom przez ojca, można zapewnić sobie przyjemne rozrywki, nowe ubranie, wycieczkę letnią lub dobry uczynek. Młoda panna, uczona przez wiele lat, poznaje sama ważność tej nauki, ponieważ pozwalają jej uczyć młodsze rodzeństwo lub nawet obce dzieci, raz dla własnego ćwiczenia się w naukach, w muzyce lub językach,

a powtóre, ażeby jej udzielić tej zapłaty, którąby obcy wzięli, a której wartość będzie wtedy umiała ocenić. Wreszcie uczą ją tych umiejętności praktycznych, które kobiecie są bardzo potrzebne, jak np. kroju i szycia bielizny i sukien. Panna, która sama sobie umie skroić i uszyć suknię, chociażby tego później nie czyniła, potrafi ocenić, że szkoda jest przepłacać za to, co samej bez utrudzenia zrobić można, potrafi przynajmniej *uznać zbytek* w sprawianiu modnych fatalaszków.

Byłoby to wręcz przeciwne wszelkim prawom umysłowej natury ludzkiej, gdyby panna w ten sposób wychowana miała stać się żoną marnotrawną.

Ale może kto zarzucić, że skoro nam tu chodzi o pożycie między małżonkami, to nie na miejscu jest dawać rady pedagogiczne: jak obecna żona miała być wychowaną, gdy była panną?

Przyjmuję ten zarzut i zaraz z niego skorzystam.

Dla mnie małżeństwo jest także szkołą życia, w której uczniami i nauczycielami zarazem są młodzi małżonkowie. Jeżeli mąż chce, ażeby żona, nieprzyzwyczajona w domu rodzicielskim do oszczędności, stała się oszczędną i gospodarną, to powinien ją tego nauczyć.

— Czy może ma jej dawać lekcyę buchhalteryi i czytywać dzieła Smilesa?—zapytasz Pani.

— Nie byłoby w tem nic złego, ale to nie jest środek zasadniczy. Teorya oszczędności będzie zawsze tylko teoryą, a umiejętność buchhalteryi będzie tylko umiejętnością — ani jedna, ani druga nie wytworzą *poczucia* potrzeby i korzyści rządności. Dla wywołania czynów świadomych potrzeba uczuć, na własnem doświadczeniu opartych; kobieta, której nie uczono *w życiu* obserwować i wnioskować porządnie, która w życiu nie czuła błędów pedagogiki — nie skorzysta nic z przeczytania najlepszych podręczników pedagogicznych. Tak samo i w tej kwestyi. Jest zaś rzeczą dość powszechnie przyjętą, że mąż daje tylko na utrzymanie domu, ale bynajmniej *nie wtajemnicza żony we wszystkie źródła swoich dochodów, w stan swego majątku i w swoje przedsiębiorstwa*. Byłoby to nieraz zbyt cieżkiem w szczegółach, ale jest *koniecznym* w ogólnych zarysach. Ktokolwiek w ten sposób obudzi poczucie wspólności w sercu kochającej żony, może być pewnym, że nietylko ją ochroni od bezmyślnych zachceń zbytkowych, ale, co więcej, sam zyska prawdziwie serdeczny dozór nad swemi nierozważnemi projektami. *Żona więc bezwarunkowo powinna znać majątkowy stan męża i być we wszystkim duchowym spółnikiem jego przedsięwzięć i postanowień*. Tylko w ten sposób trafia się do serca i do rozumu, a wtedy wszelkie morały i perswazyje będą zbyt cieżkie — wystarczy prosta, z serca płynąca uwaga.

Nakład na cele domu będzie się mógł powiększać stopniowo, wydatki na przyjemności będą szły równoległe ze wzrostem dochodów, i rachunki od modniarek nie naruszają nigdy domowego spokoju — co daj Boże. Amen.

Pozostaje mi jeszcze rozbiór trzeciego warunku, t. j. *harmonii duchowej*, warunku, który w części sam zastąpić może dwa pierwsze, nie mogąc być przez nie zastąpionym; ale nie chcę nadużywać uwagi Szanownej Pani i, załączając wyrazy poważania, odkładam ten przedmiot do następnego listu.

**

Na drugi dzień po wysłaniu powyższej korespondencji odważyłem się na wizytę i, ku wielkiemu zdumieniu, zamiast repremandy, usłyszałem serdeczne słowa powitania. Matka tylko pogroziła mi palcem, ale cała sprawa skończyła się wśród wesołej pogadanki; przyczem, przeprosiwszy matkę, „zmuszony“ byłem także ucałować rączki córki, co ją trochę zażenowało, ale ostatecznie wywołało tylko lekkie ożywienie i dziwnie ujmujący uśmiech na świeżej twarzy. Czując się bezpiecznym, zacząłem swobodną rozmowę, do której treści dostarczyły nam moje listy — a rezultat był taki, że wcale nie myślałem wracać do domu.

Jedna tylko rzecz skłoniła mnie nareszcie do wyjścia, a była nią myśl, że, żegnając się, będę miał sposobność powtórnie ucałować rączki mojej przeciwniczki, której zarzuty stawały się coraz słabsze, a spojrzenia coraz niebezpieczniejsze.

Biegłem do domu tak, jakby mnie kto na sto koni wsadził; nuciłem wyjątki z oper i walce Straussa, a cały świat wydawał mi się marną figurą wobec uroczego wspomnienia, nie opuszczającego mojej wyobraźni. I jak pierwiej pytałem: wojna, czy pokój? tak teraz jedna tylko zajmowała mnie kwestya: kocha, czy nie kocha?

Ażeby ten problemat rozstrzygnąć, zacząłem rozważać, co to jest miłość i jak się ona poznaje. Najzabawniejszem jednak z tego wszystkiego było to, że zamiast spojrzeć na samego siebie i metodą obserwacyi dojść do wniosków, jak się miłość objawia, zacząłem kombinować różne metody teoretyczne i różne drobne okoliczności z zachowania się mojej panny, nie myśląc wcale o tem, że sam byłem już zakochany po uszy.

Metoda, którą wreszcie wybrałem, była następująca:

Trzeba sprawdzić, czy panna daje mi pierwszeństwo przed innymi.

W ciągu kilku tygodni, w których odwiedziny moje częściej się powtarzały niż zwykle, pod prete-

kstem pożyczania pism i książek, trafiła się doskonała, jak mniemałem, sposobność, bo matka mojej panny wydawała wieczorek tańczący i sporo osób zaproszono.

Gdym wszedł do salonu, towarzystwo już było zebrane, wkrótce rozpoczęły się tańce; panna była wyjątkowo wesoła i swobodna, rozmawiała ze wszystkimi, uśmiechała się do wszystkich — tylko wobec mnie jednego zachowywała dziwną powagę. W mazurze wybierała wszystkich, z wyjątkiem mnie, i tylko na pożegnanie, ściskając mi rękę, prosiła, bym nie dał czekać na siebie.

Na mnie ten wieczór zrobił jak najgorsze wrażenie. Wściekłość mnie porywała, gdym patrzył na zaloty innych, przyjmowane tym rozkosznym uśmiechem, o którym mniemałem, że mnie się tylko należeć powinien, i ostatecznie rezultat zastosowania mojej metody streściłem w jednym przygnębiającym wyniku:

— Nie kocha!

Pomimo to, następnego dnia uczułem gwałtowny obowiązek dowiedzenia się o zdrowiu pań. Nie myślały wcale chorować, ale nie zadziwiły się mojem przyjściem. Rozmawiałem z panną, gdy wzrok mój padł na okrągły czerwony przedmiot, podobny do poduszki, leżący na stoliczku przed oknem i otoczony różnemi przyborami.

— Co to jest? — spytałem.

Panna zarumieniła się zlekka i odpowiedziała, pokrywając zmieszanie uśmiechem:

— Nudziło mi się w domu, więc zaczęłam się uczyć drzeworytnictwa...

Jakiś rozkoszny dreszcz przebiegł mnie po ciele. Już miałem wymówić wyraz: „dziękuję,“ gdym spostrzegł, że popełniłbym głupstwo, i ugryzłem się w język.

— Czy pan nie pochwała tego zamiaru? — spytała ze swej strony.

Zamiast odpowiedzieć, spojrzałem jej w oczy i spojrzenia nasze złączyły się na chwilę krótką, ale tak rozkoszną, że jej chyba w piekle nie zapomnę. Milczenie moje żenowało ją widocznie i, chcąc je przerwać, zagadnęła nagle:

— Ale pan, jak widzę, zapomniał o przyrzeczeniu i wcale nie myśli o dalszym ciągu listów, a ja i mama jesteśmy bardzo ciekawe, co nam pan powiesz o harmonii duchowej w małżeństwie.

Przyrzekłem poprawę, a żegnając się, pocałowałem podaną rączkę przeciąglej niż zwykle.

Wychodząc, widziałem jeszcze przez uchylone drzwi salonu, jak stała jedną ręką o stół carta, spoglądając zamyślonemi oczyma na dłutka i drzewka, rozrzucone koło poduszeczki.

Oj te oczy, te oczy!

L I S T IV.

*Droga Pani! *)*

Jest coś sympatycznego w samym wyrazie: *harmonia* — coś z dźwięku arfy eolskiej, coś z majestatu sfer niebieskich, z tkliwości uczuć miłosnych i wiosennego śpiewu ptaków. Ledwie napisał jego zgłoski, zbudził się w myśli mojej śliczny wierszyk Szyllera, w którym pocałunki Amalii przyrównywa do uścisku płomieni, do związku dwóch dźwięków „w pełnej nieba harmonii.“ I gdyby nie ta jedna okoliczność, że wyraz ten przypomina mi także niemiecką

*) Napisawszy ten nagłówek machina'nie, uczulem zbytnią jego śmiałość, a'le po chwili uwagi, przypomniawszy sobie przysłowie: *Audaces fortuna juvat*, pozwoliłem mu bezkarnie anonsować gawędę, która coraz bardziej wkraczała w sferę rzeczywistości.

resursę w Warszawie, noszącą nazwę „Harmonii,” a która przecież zakłóciła raz harmonię między dwiema narodowościami — powiedziałbym: że jest on ideałem wyrazów. Ale też trzeba przyznać, że równie jest daleko od Szyllera i jego „pełnej nieba harmonii“ do niemieckiej resursy w Warszawie, jak od Beethovena do Offenbacha. Możemy więc bezpiecznie porzucić tę nienaturalną asocjacyę i z pogodnem sercem zabrać się do rozbioru najpiękniejszego z rodzajów harmonii, bo *harmonii duchowej*.

Dwie dusze łączą się na życie całe. Odtąd uczucia ich nie trawią się w sobie i nie rozpraszają się marnie w otoczeniu obcych, obojętnych ludzi, lecz skupiają się w jedno wspólne ognisko, w jedno współczucie, w jeden akord. Najrozmaitsze upodobania równoważą się, uzupełniają, doskonałą — szczęście odosobnione staje się wspólnem szczęściem, troska jednostek — wspólną troską, a w tej wspólności, w tem zjednoczeniu szczęście staje się słodsze, troska lżejszą. Pięknie powiedziała Deotyma, że:

Gdy w sile dwu chórów zrównają się głosy,
Niebo usłyszy ziemię, a ziemia niebiosy...

bo jeśli niebo można zbliżyć do ziemi, to nie znam lepszego na to sposobu, jak właśnie w ustaleniu tego związku dusz, który ideałom wyrabia prawo obywatelstwa na ziemi, a życiu nadaje urok poematu.

Lecz jak osiągnąć ten cudowny związek dwóch dusz, dwóch atomów, kryjących w sobie dwa światy: uczuć, upodobań, nałogów i przekonań? Jak zapewnić temu chemicznemu połączeniu trwałość wobec wpływów otoczenia?

Za dawnych, oczywiście lepszych czasów, wierząco w przeznaczenie. Kochanków porównywano do dwóch gwiazdek na niebie, które, świecąc zdaleka jedna od drugiej, świeciły jednak dla siebie i prędzej czy później zejść się musiały w jednym uścisku, albo też, gdy taką była ich fatalna doła, zbliżały się w błędnej nadziei, by potem raz na zawsze rozerwać swe drogi i pobiedz na przeciwne świata krańce.

Śmierć i żona
Od Doga przeznaczona...

mówiono — a jeśli tego samego nie powiadało o mężu, to dlatego tylko, że w owych czasach żona *do-stawała się* mężowi, jako nagroda lub kara, a mąż tylko brał lub nawet zdobywał żonę.

Dzisiaj chcemy wierzyć, że to, co było *związkiem* tylko, jest *stowarzyszeniem*, stowarzyszeniem różnych, lecz moralnie równych sił do wspólnych celów. Dzisiaj więc, wobec wolności wyboru, wobec mniej więcej równych praw, musimy szukać innych warunków harmonii. Patryarchalne poręczenie posłuszeństwa żony względem męża nie wystarcza. Nie

przypuszczam, ażebyś mnie Pani posądziła o lekceważenie prastarych cnót i obowiązków; jeżeli bowiem chcę szukać innych warunków harmonii, to właśnie dlatego, że dawne okazały się niedostatecznymi do zachowania tych cnót prastarych, a jeśli zbaczam w czemkolwiek od tradycyi, to chyba w tem, że chcę, ażeby cnoty wypływały nie tylko z poczucia obowiązku, lecz i z samolubnego uznania w nich warunku szczęścia, z obustronnej zgody charakterów, ażeby łączyły się nierozdzielnie z zadowoleniem wszystkich rozsądnych pragnień jednostkowych.

Czegóż dla osiągnięcia tego celu potrzeba?

Przedewszystkiem — wzajemnej znajomości. Nie tej, która się opiera na wiedzy o tem, jak narzeczony lub narzeczona tańczą, jak ubierają się, jakimi językami mówią, jak grają lub śpiewają i gdzie bywają na wieczorach — lecz tej, która nas wtajemnicza w charakter i temperament, w sposób wychowania, w sposób zajęcia się domem, pożycia z rodzicami, z przyjaciółmi i przyjaciółkami, z młodszem rodzeństwem, ze służbą, wreszcie we wszelkie upodobania, przekonania i przyzwyczajenia religijne, estetyczne, obyczajowe — we wszelkie kaprysy i fantazyje.

— Ależ to niepodobna! — zawołasz pani.

— Jeśli to jest niepodobnem — odpowiem — to w takim razie ludzie wcale nie powinni... grać w karty o grube stawki. Chyba, że małżeństwo nazwiemy za-

bawką tylko, a obowiązki małżeńskie — gminnym przesądem, który ludzi z „towarzystwa“ wcale krępować nie powinien. W takim razie — *à la bonne heure!* żeńmy się dla zaokrąglenia majątku, dla wejścia w stosunki, dla zapewnienia sobie protekcji, karety, podróży do wód, swobodnych miłostek i modnych mebli — ale nie dla żadnych celów szlachetniejszych, jednostkowych i społecznych, których środkiem miała być rodzina. Bo przez takie związki celów tych nie osiągniemy. Któżby wstępował do spóiki, nawet prawnie poręczonej i obwarowanej, z człowiekiem, którego zna o tyle tylko, że wie, jak się nosi, jak mówi i jak się uśmiecha? A przecież małżeństwo jest spóiką przeważnie duchową, w której żaden kontrakt, choćby przed rejentem spisany, nie poręczy harmonii duchowej, mogącej się oprzeć tylko na wzajemnej znajomości charakterów.

Dajmy na to, że charakter panny jest uporny i kapryśny — mężczyzna, mimo wszelkich zresztą zalet umysłu i serca, jest gwałtownym i niewyrozumiałym. Tych stron charakteru nie poznaje się w salonie, na wieczorkach, na koncertach i przechadzkach; jeżeli więc młodzi kochankowie poprzestają na tem, że się kochają i że wiedzą nawzajem o swej uczciwości, zażności, pracowitości i t. p., a nie wiedzą o tej jednej stronie swoich charakterów — cóż z tego wyniknie? Najlepsza „partya,“ obok przywiązania nawet, wytwo-

rzy małe piekło w domu, który miał być przybytkiem szczęścia. Powstrzymywanie objawu wad i namiętności, możliwe i naturalne przed ślubem — zwłaszcza jeśli stosunki między narzeczonymi były ceremonialne i nie trwały długo — zniknie po ślubie. Pani będzie chciała, żeby album leżało na stole, a pan, żeby leżało na konsoli, i scena gotowa; pani chce wstawać o dziesiątej, a pan chce mieć śniadanie o ósmej: i co rano wszczyna się o to polemika, wskutek czego przy obiedzie rosół wydaje się przesolonym, a piwo kwaśnem. I tak dalej — z małemi przerwami... Niechże do tego wszystkiego przyłączy się najniewinniejszy powód zazdrości, a będziemy mieli spazmatyczne szlochania, wyrzuty, rzucania książkami, zamykania się w swoim pokoju i t. p. miłe sytuacje.

Niewieleby też lepiej było, gdyby taka panna dostała się jakiemuś safandule, dobrodusznemu i najbardziej pokojowo nastrojonemu. Byłoby wprawdzie ciszej w domu, ale od ciszy w domu do spokoju w duszy bardzo daleko. Mąż znosiłby swoją dolę, lecz byłby wiecznie niezadowolony, a żona narzekałaby, że nie może znieść swojej doli, i także byłaby niezadowolona.

Gdyby zaś ów pierwszy mąż dostał się potulnej gąsce salonowej, byłoby to samo, tylko naodwrot.

— Ale cóż na to poradzić? — powiesz pani.

— Przedewszystkiem, nie śpieszyć się do ołtarza.

Powtóre, rozmawiać nietylko o pogodzie, teatrze i powieściach, lecz o życiu, o stosunkach, o obowiązkach, o pracy, o zajęciach i o upodobaniach własnych, poznawać się w dłuższem pożyciu, przy różnych okolicznościach i czynnościach, i rozmawiać trochę śmielej i trochę poważniej, niż to się zwykle praktykuje; śmielej dlatego, że rachowanie się zbyt wielkie z konwenansami prowadzi do obłudy, do wzajemnego tumanienia się; poważniej, ponieważ śmiałość bez powagi dowodzi tylko chorobliwej emancypacji. Po trzecie (i tu właśnie dochodzimy do najważniejszego punktu), potrzeba wyrabiać w sobie tę zdolność, którą jeden z naszych młodych pisarzy nazwał *psychologicznem współczuciem*.

— Cóż to takiego? — spytasz pani ze zdziwieniem.

Jest to rzecz bardzo prosta i bardzo trudna zarazem, ale bez której niemożliwą jest harmonia w pożyciu.

Ażeby być jasnym, zacznę od przykładów.

Pan X. jest uczonym fizykiem i pracuje właśnie nad wynalezieniem nowego telefonu, t. j. przyrządu, służącego do przesyłania dźwięków. Kocha przytem żonę i jest przez nią kochany. Małżonka nie jest kobietą nierozsądną, ani prózną, a jeśli ma w sobie trochę zalotności, to chyba względem męża tylko.

Lubi się ubierać dla niego — i właśnie w chwili, gdy mąż wpadł na pomysł takiej błony, której drgania odtwarzałyby najdokładniej dźwięki mowy ludzkiej, żona wbiega do jego pokoju w nowym kapelusiku, pytając z przymileniem:

— Cóż, czy ładnie?

— Ładnie, ładnie — odpowiada mąż, ale proszę cię, aniołku, nie przeszkadzaj mi teraz, bo jestem bardzo zajęty.

— Ale powiedz tylko, czy naprawdę ładnie, bo widzisz, te astry nakrapiane to nie nowe, tylko od dawnego ubranka odświeżone, a te wstążki, to Emilka mówiła...

— Dobrze, dobrze, tylko zlituj się, cóż mnie to może obchodzić?

— Tak, ja wiem, że ciebie może nic nie obchodzi, ty mnie zawsze tak traktujesz, ty mnie wcale nie kochasz...

I rozpoczyna się szereg wymówek i łez niewinnie przelanych, które mogłyby być łatwo otarte pocałunkami, gdyby mąż poczuwał się do winy. Ale on jest raczej skwaszony i zniecierpliwiony niż wzruszony; składa ołówki i papiery, zaczyna chodzić po pokoju, a żonie pozwala odejść, nie rozpogodziwszy oblicza.

Innym razem żona jest zmartwiona i smutna, bo śmietanka przypaliła się, a na domiar nieszczęścia,

służąca „zabawiwszy się“ na mieście, nie nastawiła samowaru i jeszcze hardo odpowiada, że pani sama może sobie herbatę przygotować, bo jej już ręce i nogi od tej psiej służby odpadają... Mąż tymczasem, w wyjątkowo dobrem usposobieniu, siadł do fortepianu i, niewiele dbając o to, że herbata się opóźnia, delektował się nokturnem Szopena. Cóż to za rozkosz móż grać Szopena wtedy, kiedy interesa poszły pomysłnie, kiedy zajęcia skończone, a pokój zalega cisza wieczorna!...

Wtem wchodzi żona.

— Wyobraź sobie, ta Maryśka, niedosyc, że godzinę siedziała na mieście, jeszcze mi odpowiada i garnkami ciska. Ja ci mówię, że jak jej raz rozumu nie nauczysz, to ja nigdy nie będę miała spokoju. Proszę cię, idź zaraz i niech ja jej więcej nie widzę!

Dla miłego spokoju mąż wstaje i daje napomnienie służącej, pożegnawszy się z Szopenem, z marnieniami i dobrym humorem.

Albo znów: mąż wraca do domu po większej niż zwykle pracy biurowej, a idąc, marzy, jak to przyjemnie będzie włożyć pantofle, zasiąść wygodnie w fotelu, zapalić cygaro i gawędzić z żoną lub słuchać jej czytania. Jest najmocniej przekonany, że i jej to zrobi przyjemność; ale, na nieszczęście, nie pamięta o tem, albo raczej nie czuje tego, że kiedy on ma rozrywkę choćby w biurze, między kolegami, ona siedzi w do-

mu od kilku tygodni; radaby więc rozerwać się i ludzi zobaczyć; jest przytem pewną, że i mężowi zrobi to przyjemność. I oto na progu wita go radosnym uściskiem:

— A! jesteś przecie! Wiesz co, była Emilka z mężem i prosili nas koniecznie na wieczór. Pójdziemy, prawda?

Następują uwagi i perswazye; mąż powiada, że nigdy nie ma spoczynku, że pracuje dla niej, a ona nie dba o jego wypoczynek; żona zaś utrzymuje, że właśnie on nic nie dba o nią, że zawsze wtedy chce siedzieć w domu, kiedy ona wyjśćby chciała i t. d.

Takie sceny powtarzać się mogą codziennie, a przyznasz Pani, że to wcale niezabawne.

Tymczasem, któż temu winien?—Właściwie nikt. Trzebaby być niesprawiedliwym, żeby którejkolwiek stronie przyznać większą słusność niż drugiej. Dlaczego? — *Bo ludzie ci nie odczuwają nawzajem swoich stanów duchowych*, nie uwzględniają różnic, jednym słowem, nie mają *psychologicznego współczucia*. Tu już nie chodzi o współczucie zwykłe, o litość, o troskliwość i t. p. przymioty, gdyż te znalazłyby się z pewnością, gdyby mąż zachorował, gdyby żona miała jakieś zmartwienie, lub gdyby jedno z nich narażone było na niebezpieczeństwo, a choćby tylko na przykrość ze strony obcych; ale tu chodzi o owe mniej więcej dotykalne różnice w chwilowem usposo-

bieniu, o odczuwanie tych chwilowo sprzecznych stanów duszy i rachowanie się z niemi, o wzajemne stosowanie się do siebie, o wzajemną wyrozumiałość, delikatność i względność. A tymczasem ci ludzie, mimo że są łagodnego i zgodnego charakteru, mimo że są uczciwi, mimo, że się kochają, nie przedstawiają tej wewnętrznej spójni, bez której harmonia *różnych* sił nie może być zupełną.

Współczucie psychologiczne jest niekiedy wrodzonym przymiotem; posiadają je ludzie od wszystkich kochani, bo zarówno dla wszystkich wyrozumiali umiejący szanować cudze potrzeby i upodobania tak dobrze, jak swoje. Częściej jednak trzeba je zdobywać dopiero. A jak dla ulepszenia własnego charakteru wogóle, tak i w tym szczególnym przypadku, najpotężniejszym środkiem i najodpowiedniejszą chwilą jest miłość w pierwszych miesiącach małżeńskiego pożycia. Najłatwiej wtedy zacząć wyrabiać w sobie ten cenny przymiot — ale też najłatwiej wtedy zapomnieć o tym niezbędnym warunku przyszłego szczęścia. Wówczas bowiem nie czujemy potrzeby żadnych o nie starań, wszystko się do nas uśmiecha, wszystko zdaje się przychodzić samo przez się, uczucie samo stwarza harmonię. Ale gdy ta epoka minie, gdy przyjdą chwile poważniejsze, może nawet ciężkie, wówczas nierychło ubolewać nad rozstrojem, który się wkłada w życie. Wówczas bowiem nie stanie sił i po u-

dek, i w najlepszym razie zawsze brakować będzie choćby małej cząsteczki tej pogody duchowej, jaką daje spójnia stosujących się do siebie potrzeb i wymagań moralnych, na podstawie psychologicznego współczucia.

Tymczasem w pierwszej epoce nic łatwiejszego, jak wyrobić je w sobie: trzeba tylko wiedzieć o tej potrzebie, czuć w niej warunek zadowolenia na przyszłość i częściej myśleć o usposobieniu i potrzebach moralnych drugiej osoby; nie tylko o tych, które dla wszystkich są widoczne, lecz i o tych także, które tylko kochające serce w głębi duszy odkryć potrafi. Wtedy i na pokazanie nowego kapelusza, i na upomnienie służącej, i na zabawę wieczorną znajdzie się, a raczej *odczuje* czas odpowiedni; zajęcia i rozrywki rozłożą się w sposób, dla obu stron dogodny, i nigdy nie przyjdzie do stanowczej kolizyi pragnień, do zerwania harmonii duchowej.

Zarzucisz mi Pani może, że jest to obraz idealny, że zupełna jedność uczuć i woli, a tem samem i niewzruszona stałość pogody małżeńskiej jest niepodobną. Ale ja też wcale nie myślę żądać takiej monotonnej jedności. Owszem, przyznam się Pani, że miłość, oparta na zupełnej abdykacyi z odrębnych pragnień jednostkowych, wydaje mi się czemś niesłychanie nudnem i martwem, czemś w rodzaju średniowiecznej muzyki, nie znającej akordów dysonansowych. Niechże mnie Bóg broni od takiej ślamazarnej miłości!

Miłość bez walk, bez starć serdecznych, bez łez gorących, bez chwilowych udręczeń zazdrości, może być dostateczną dla ślimaków, ale nie dla ludzi, a przynajmniej nie dla tych stosunków duchowych, jakie ja sobie w wyobraźni mojej przedstawiam. Gdybym wiedział, że żona moja zgodzić się będzie na wszystko, co powiem, i że ja będę się musiał zgodzić na wszystko, co ona powie — to wolałbym sobie kupić lalkę gadającą, to przynajmniej nietyleby kosztowało.

Jeżeli zaś małżeństwo jest stowarzyszeniem *różnych* sił dla wspólnych celów, to samo się przez się rozumie, że siły te nie mogą być martwe, lecz żywe. A wszystko, co żyje, żyje przez ścieranie się, przez walkę, *dążącą do harmonii*. Tego też pragnę i w małżeństwie. Zgoda charakterów nie znaczy ich tożsamości. Owszem, jestem najmocniej przekonany, że charaktery zupełnie jednostajne są najgorszym materiałem do spółki takiej jak małżeństwo, jeśli się ma jakiegokolwiek pragnienia i cele wyższe, oprócz zaspokojenia żołądka i znośnej wegetacyi w społeczeństwie. Tylko bieguny przeciwne przyciągają się i tylko różne siły są w stanie wytwarzać coraz to nowe kombinacye stosunków. A jakże przerażająco nudnem byłoby życie bez tej możliwości urozmaicenia go! Wiecznie pogodne niebo, bez żadnej chmurki, bez ożywczej rosy deszczu, jakżeby prędko stało się nieznośnem!

W przykładach, które powyżej przytoczyłem, nie mieliśmy do czynienia ze sprzecznymi charakterami — charaktery te były owszem zgodne i łagodne, a przecież nie mogły poręczać szczęścia. Podobnie nie poręczałyby go charaktery zupełnie spreczne: ale *różnice*, znaczne nawet, wydadzą najpiękniejszą harmonię, jeśli tylko spełnione będą warunki, które powyżej podałem. Kolizye uczuć i pragnień nigdy nie przekroczą granicy właściwej, jeśli nad nimi czuwać będzie najpewniejszy stróż wewnętrznej harmonii — *umiejętność odczuwania obcych stanów duchowych*.

No, ale do tego wszystkiego potrzeba przede-wszystkiem jednej rzeczy:

Trzeba kochać...

Całem sercem życzliwy

**

Trzeba kochać...

Ej, nie tak to trudno, jak się zdaje! — pomyślałem sobie, składając list napisany; już czuję, jak mnie coś korci, żeby iść do nich i samemu list odnieść; już widzę czarne oczy, przebiegające żywo po papierze, i serce mi bije silniej na myśl, że doszedłszy do ostatnich słów: „trzeba kochać“ moja czytelniczka może powiedzieć z westchnieniem:

— Nie tak to łatwo, jak się zdaje!

Brr!... aż mnie mrowie przeszło po skórze, ta-

kie zimne, czarne oczy zobaczyłem przed sobą. Czy ona mnie wcale nie kocha?... Spróbujmy!

Nie byłem już teraz tyle naiwny, by próbę zrobić na balu. Postanowiłem skorzystać z prostej wizyty, po wysłaniu listu poprzednio. Rozumowałem teraz w ten sposób: jeżeli kocha, musi być zazdrosną.

Zatem — do dzieła! Obmyśliłem plan doświadczenia i z dobrą miną wszedłem do salonu.

Moja pani siedziała nad drzewkiem, którego rysunek wyobrażał kawałek morza i kawałek brzegu piaszczystego. Przerwany łańcuch wisiał u pnia wbitego w ziemię, a z boku, jednym końcem zatopiona w piasku, sterczała żelazna kotwica.

— Jak się panu podoba ten obrazek? — spytała po przywitaniu.

— Dziwnie smutny.

— Dlaczego? Wszakże to symbol nadziei, a tam za morzem błyska wschodzące słońce...

— Tak, ale ta nadzieja wsparta na piasku, a słońce takie zimne i tak daleko!...

— Można je zbliżyć, jeśli pan chce...

— Jakto, można zbliżyć?... — zapytałem radośnie.

— Za pomocą głębszego wcięcia. Promienie wyjdą jaśniej i pełniej...

— A tak, za pomocą głębszego wcięcia... — powtórzyłem machinalnie. — Żeby to tak można...

— Ależ można, powiadam panu. A co do nadziei...

— Więc mogę mieć nadzieję?... — pochwyciłem w zamyśleniu.

— Możesz pan mieć cały obrazek, gdy go skończę i każe odbić. — A mówiąc to, spojrzała mi filuternie w oczy, jak gdyby nigdy nic.

Byłem rozdrażniony i postanowiłem rozpocząć eksperyment, żeby raz przecie wiedzieć, czego się mam trzymać. Miałem już przygotowany pierwszy frazes, gdy tymczasem ona wyprzedziła mnie:

— Bardzo jestem ciekawa, czy też pan się kiedy ożenisz?

— Dlaczegożby nie. Właśnie...

— Co właśnie?

— Właśnie chciałem się pani zwierzyć, jako życzliwej dla mnie, i prosić o radę...

Słowa z trudnością przechodziły mi przez gardło, bo nie przywykłem do kłamstwa, ale postanowiłem zrobić swoje i mówiłem dalej:

— Znam pewną panienkę, bardzo ładną, bardzo wykształconą i...

Czarne oczy, które podczas tych słów były spuszczone, podniosły się teraz poważnie i patrzyły we mnie ze zdziwieniem.

— I bardzo ja pan kochasz? — spytała.

— Nad życie. Jestem przytem pewny, że mam wzajemność. Kochała mnie bowiem pierwej jeszcze, nim ja ją pokochałem. Zналиśmy się od dzieciństwa; lecz z początku lubilem ją tylko, potem przywiązałem się do niej, bo jest dobrą, poczciwą, serce ma złote, a oczy takie niebieskie, jak najpiękniejszy błękit nieba... Potem przekonałem się, że uczucie rośnie zwolna, ale bezustannie, że ciągle o niej tylko myślę...

— Że nie możesz pan żyć bez niej i t. d. A często ją pan widzisz?

— Ostatni raz... wczoraj... byłem u nich na wieczorze tańczącym... — odpowiedziałem, jękając się.

Przeciwniczka moja zamyśliła się przez chwilę i nagle wybuchnęła głośnym śmiechem.

— A kiedyż pan list pisałeś?... Wczoraj po południu nie był jeszcze zaczęty, a dziś rano odebrałam go.

Złapała mnie na kłamstwie, nie było co wykręcać się.

— Pani — rzekłem — przebacz mi, że chciałem grać komedję. Kocham cię i chcę wiedzieć, czy mogę być kochanym?...

— To zależy od temperamentu, od stanu zdrowia, od asocyacji wrażeń przyjemnych... a ja tego wszystkiego nie umiem ocenić. Młode panny nie mogą wiedzieć, czy kochają, czy tylko ulegają złudzeniom... Mogę panu tylko tyle powiedzieć, że apetytu

wcale nie straciłam, spiam doskonale... zazdrosną, jak pan widzisz, nie jestem,

— Pani żartuje sobie ze mnie, a mnie to boli. Zresztą, nie mam prawa wymagać współczucia...

— Psychologicznego? Naturalnie, byłoby to za wcześnie. Ale to wstyd, że pan, który tak wymownie o niem piszesz, sam go nie posiadasz, w przeciwnym bowiem razie wiedziałbyś, że twoje doświadczenie z zazdrością było zupełnie niepotrzebne...

— Było niepotrzebne... — powtórzyłem smętnie.

— Tak jest, było niepotrzebne, ponieważ widując mnie prawie codziennie, powinieneś pan być odczuć psychologicznie, że...

Resztę dokończyło spojrzenie.

— Że mnie pani kochasz! — zawołałem radośnie, okrywając pocałunkami obie rączki, których mi wcale nie broniła.

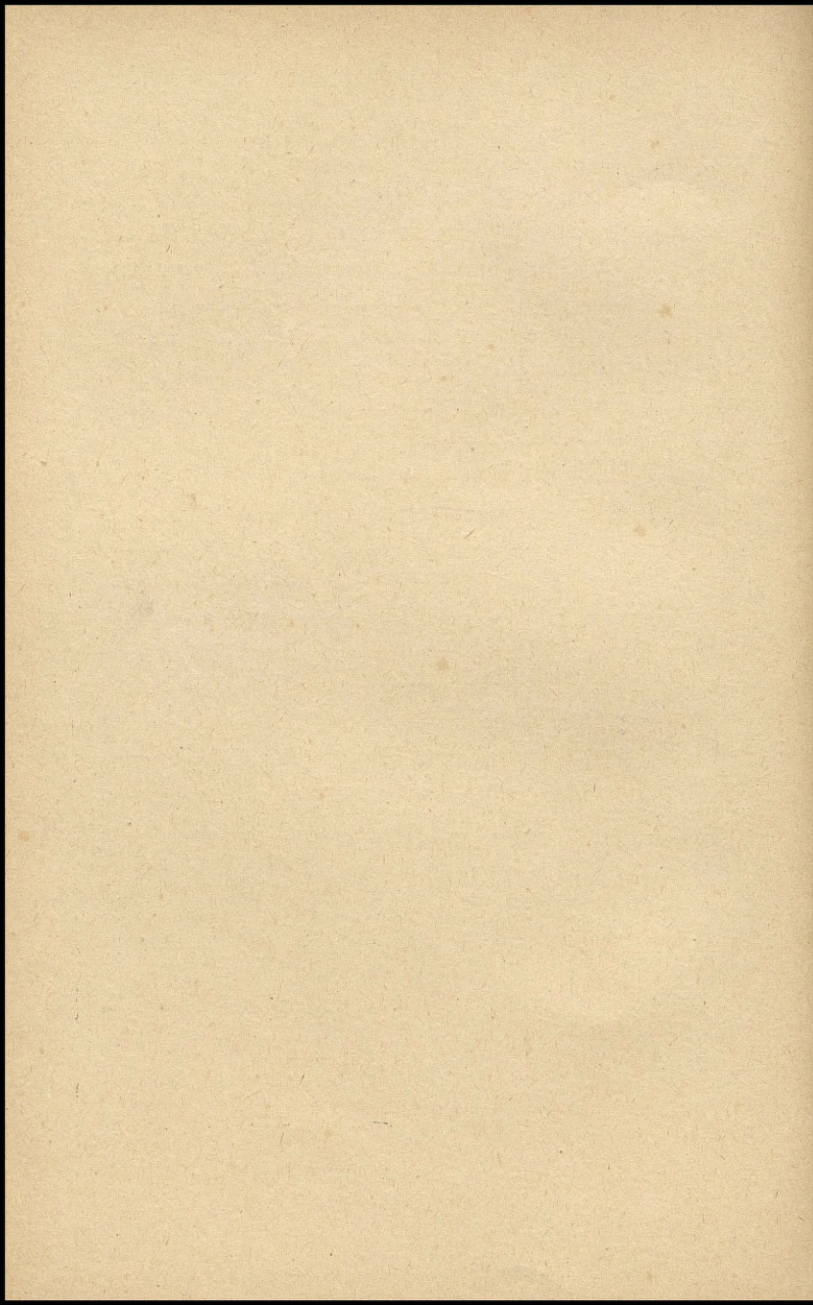
Przeciwniczka moja utrzymywała wprawdzie, że zupełnie co innego myślała, że jestem zbyt pośpieszny w wyprowadzaniu wniosków indukcyjnych, że jest to tylko moja hipoteza, niepoparta dostateczną ilością faktów, że wewnętrzne poczucie świadomości ulega licznym złudzeniom, o ile przechodzi od *ja* do *nie-ja*— ale rączek nie cofała.

Było nam tak dobrze!...

W kilka dni potem postanowiliśmy uzupełnić obustronną znajomość naszych charakterów. Wyspowałam się mojej pani ze wszystkich wad i słabostí, ze wszystkich błędów mojej młodości, które nieraz surowe wywoływały napomnienia, ale po których szczerem wypowiedzeniu tak mi było lekko na sercu, jak po prawdziwej spowiedzi. Wyznałem jej, że jestem niekiedy uparty, zarozumiały, gderliwy, wymagający i t. d. Ona zaś...

Ale to już tajemnica autora.

Wolno mi powiedzieć tylko tyle, iż na jej wyraźne żądanie musiałem opisać, punkt po punkcie, cały charakter mojej wrażliwości, mojej umysłowości, moich uczuć i woli, tak, jak on mnie się samemu przedstawia, a ona, wprawdzie dopiero po bardzo usilnych moich prośbach, uczyniła to samo względem siebie. Te dwa „portrety psychologiczne“ wymieniliśmy zamiast pierścionków — i tak się odbyły nasze prywatne zaręczyny. Urzędowe nastąpić miały dopiero po piątym liście.



LIST V.

Moja droga, kochana, jedyna!

Zgodziwszy się na to, że małżeństwo jest spółką duchową, powinniśmy spisać warunki kontraktu. Zaczynam od postawienia moich, a są one następujące:

1. W stosunkach naszych ma panować bezwzględna szczerść, i chyba chwilowo tylko, może jedno mieć przed drugim tajemnicę.

2. Wszelkie nieporozumienia pozostają między nami i mają być usuwane bez pośrednictwa osób trzecich.

3. Żona musi być przygotowaną na to, że fundusze nasze będą ograniczone, a tem samem, że wielu kosztownych przyjemności będzie musiała się wyrzec.

4. Ponieważ dochód mój oparty będzie na pracy umysłowej, będę potrzebował przez pewną część dnia spokoju, który może być dla żony uciążliwym.

5. Z rodzaju tej pracy, jako literata, wynikają różne objawy zawiści i urazy, z którymi żona oswoić się musi.

6. Wszelka przykrość, wyrządzona jednej stronie przez drugą, mimowolnie nawet, nie powinna być znoszona w ukryciu; lecz strona dotknięta powinna otwarcie i łagodnie wypowiedzieć swoją urazę, celem uniknięcia podobnych nieprzyjemności na przyszłość. *)

Twój do śmierci

**

Umowę tę sam odniosłem. Przeczytała ją uważnie, a oczy jej zwilżyły się łzami, gdy podając mi swoją bieluchną rączkę, rzekła:

— Zgadam się na wszystko.

Przygarnąłem ją do siebie i pierwszy gorący pocałunek złożyłem na jej czole.

Po chwili wysunęła się z moich objęć, a pocziwa jej twarzączyka ożywiła się niewinnym rumieńcem.

— Teraz — rzekłem — radbym i twoje warunki usłyszeć...

*) W notatce mojej do tej umowy dodany był jeszcze jeden warunek: „W razie gdyby jedna strona przestała kochać drugą, mieliśmy się rozejść spokojnie, za wspólną zgodą, bez żadnych scen gwałtownych.“ Warunek ten zapisałem sobie wtedy, kiedy jej jeszcze nie kochałem tak jak dzisiaj; dziś czuję, że byłby on pustym frazesem, bo na samą myśl o takim obrocie rzeczy krew zakipiła mi w żyłach. Punkt więc siódmy został wymazany.

Rozśmiała się przez łzy i spojrzała w przestrzeń:

— Moje warunki? Dobrze, postawię i ja moje warunki. A... niech pan nie myśli, że będą łatwe... bardzo trudne!...

— Czekam z niecierpliwością.

— A więc... żądam po pierwsze... żebyś mnie pan kochał.

— Powtóre?

— Powtóre: żebyś mnie *bardzo* kochał!

— Doprawdy, nie dam rady! A po trzecie?

— Po trzecie: żebyś mnie *zawsze* bardzo kochał...

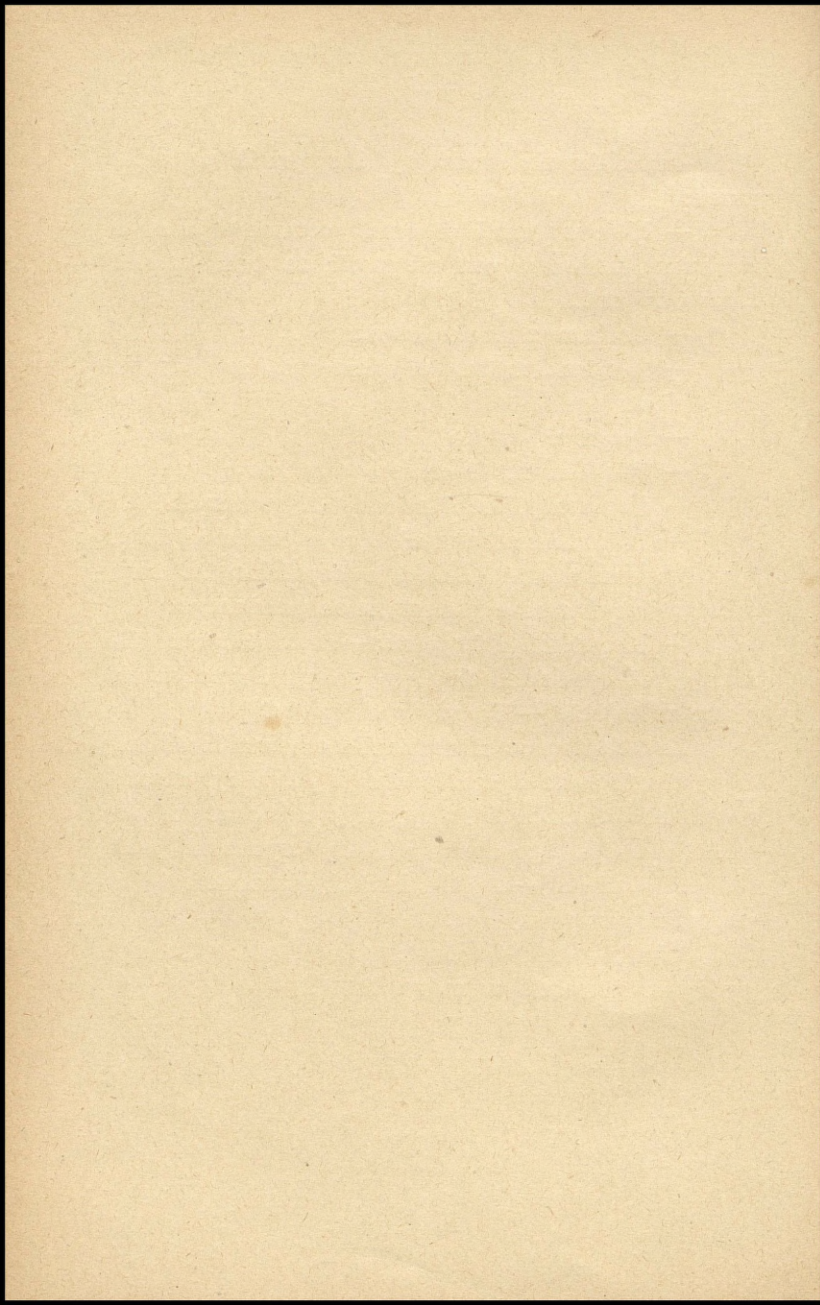
Mogę zapewnić łaskawego czytelnika, że drugi pocałunek był jeszcze gorętszym od pierwszego.

— Mateczko, pobłogosław! — zawołała moja spólniczka, wbiegając do drugiego pokoju i rzucając się matce w objęcia. — To mój narzeczony!

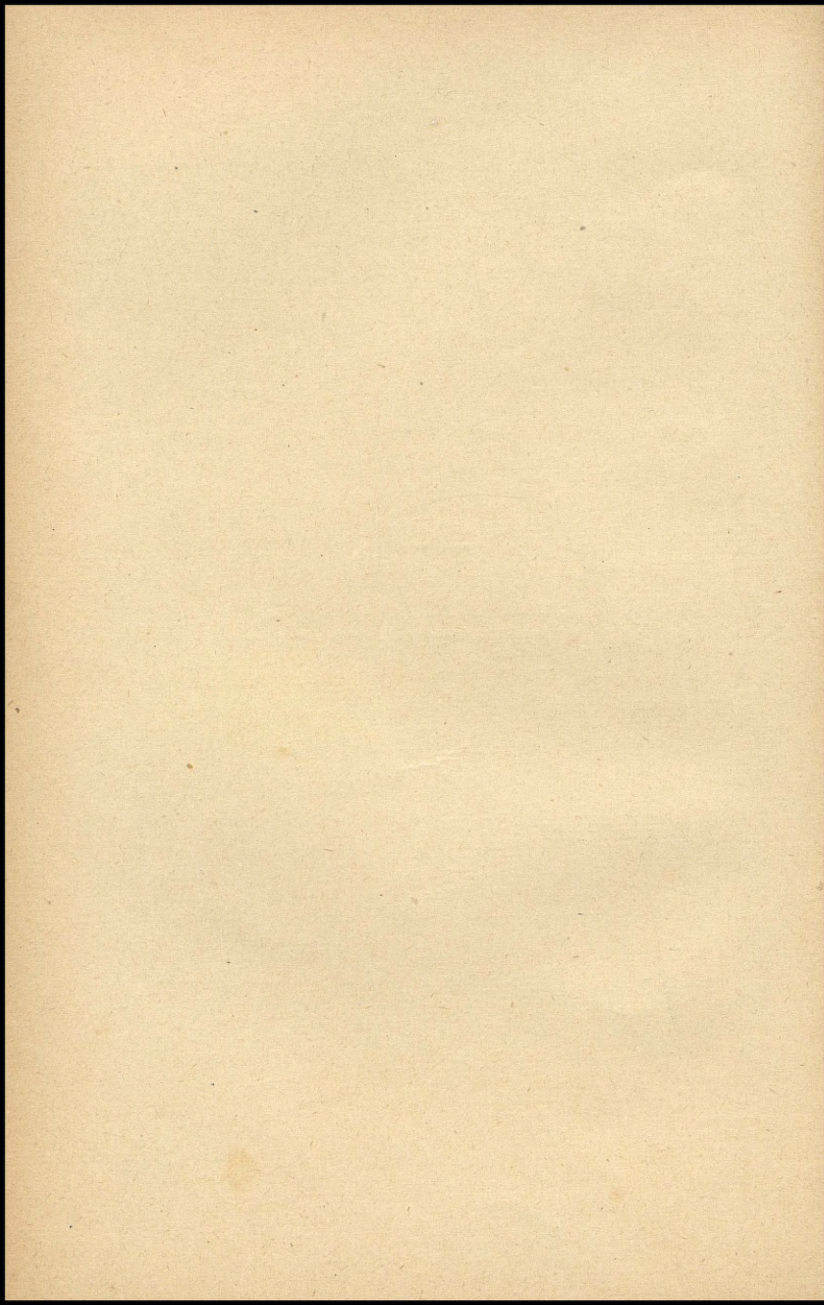
Ze łzami w oczach przytuliła nas matka do serca, pobłogosławiła i przeżegnała. A jakim był dla nas trojga ten wieczór wiosenny, tego dodawać nie potrzebuję, bobyś tego nie zrozumiał, czytelniku, jeżeli sam nie kochałeś — a jeśliś kochał, zrozumiesz i bez mej pomocy.

W taki to sposób idea mojej narzeczonej „z krajny marzeń przeszła w rzeczywistość.“

K O N I E C.



LISTY
DO CUDZEJ ŻONY.



I.

Dlaczego do cudzej?

Przyczyna bardzo prosta. Autor jest, jak dotychczas, kawalerem, a więc pomimo chęci najszczerzych, ze swoją żoną korespondować nie może. Nie zdarzyło mu się też nigdy w życiu widzieć lub słyszeć, aby mąż z żoną prowadził korespondencyę w kwestyi ogólnej, a właśnie niniejsze listy takiej dotyczą. Jest w nich mowa o małżeństwie, o tej instytucyi jak świat starej, o której tyle tomów napisano i tyle jeszcze napiszą.

Wartoby na wstępie do tych listów położyć napis zdobiący angielski order Podwiązki, aby zawstydził się każdy, kto o nich z tytułu źle sądzi. W korespondencyi z cudzą żoną nie będzie nic takiego, coby odrobinę chociaż przypominało komedię francuską lub tak zwany „romans psychologiczny.“ Kto zatem szuka skandalu, niech tej kią-

żeczki nie czyta, bo go w niej nie znajdzie. Szanowną korespondentkę, która wywołała niniejsze listy, znam od dziecka, widywałem ją jako pensyonalarkę, jako podlotka, wreszcie jako młodą osobę bardzo urodziwą, pracującą na siebie w charakterze nauczycielki. Później przenieśliem się na mieszkanie w inne strony i straciłem ją z oczów. Mówiono mi, że wyszła za mąż bardzo bogato i że jest szczęśliwa. Dodaję jeszcze, że piękna pani Aniela, gdyż takie imię ma ta osóbką, jest moją kuzyną: w jakim stopniu nie wiem, ale podobno tak jest na zasadzie kombinacji, ułożonych przez jedną z mych ciotek, wielką znawczynię wszelkich prozapij i parantelli. „Anielcia poszła za mąż świetnie“ — mówiła mi owa ciotka, przyjąłem to do wiadomości z uciechą i przez kilka lat wcale nie słyszałem o tej osobie.

.

II.

Był ranek smutny, chmurny, jak prawie co dzień w listopadzie. Słońce spało w chmurach, ani myśląc spojrzeć na zabłoconą ziemię, deszczyk mżył drobniutki, w pokoju panował jeszcze mrok, chociaż zegar dawno wydzwonił dziewiątą. Przyniesiono mi kilka listów z poczty. Wśród nich znajdował się jeden, wyróżniający się dziwną formą koperty. Była ona wązka, wydłużona, zrobiona z papieru imitującego stary pergamin. Otworzyłem ją i przedewszystkiem spojrzałem na podpis: „szczerze życzliwa kuzynka Aniela Iks“.

Więc ona nosi teraz nazwisko Iks. Tak i przypominam sobie, ciotka w swoim czasie mówiła, że Anielcia zrobiła świetną partyę, wychodząc za Iksa.

Czegoż żąda pani Aniela? o co jej idzie? żąd przyszło jej na myśl z „pałaców sterczących dumnie“ zejść, chociaż myślała tylko, do ubogiej chatki. w które

nic nie ma, prócz porozrzucanych książek i papierów?

Odpowiedzi na to pytanie trzeba było szukać w drobniutkich literkach, rozsypanych jak mak na czterech stronach arkusza.

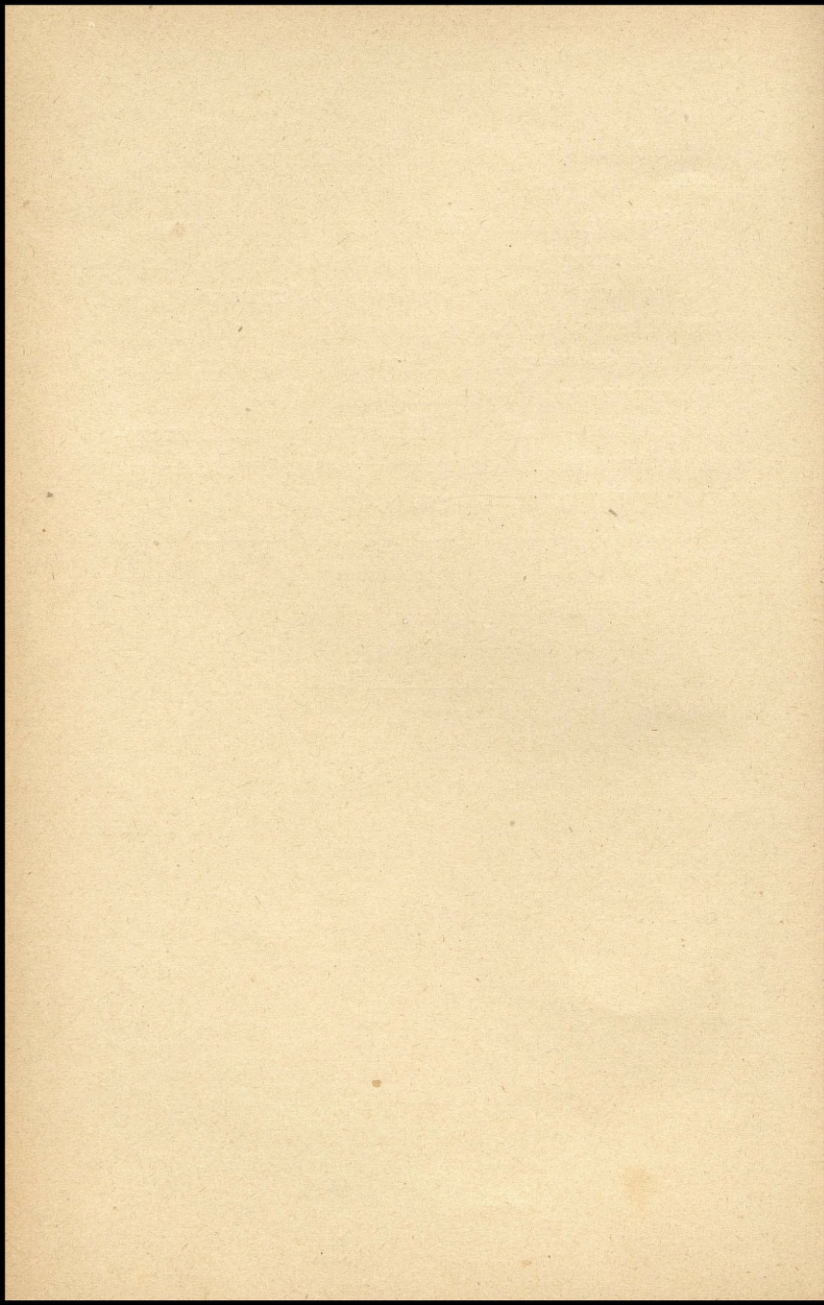
Ach, więc nie wszystko złoto, co się świeci, więc tak zwana „świetna partya“ szczęścia nie daje, dostatki nie zapewniają spokoju; człowiek, któremu trzeba przyznać wiele zalet serca, charakteru, nie jest towarzyszem zajmującym, a osoba młoda, osoba, której dobrej doli wszystkie towarzyszki zazdroszcza, jest najniezszczęśliwszą pod słońcem! Niestety, tak. Napisane przecież najwyraźniej, czarno na białym, wybornym atramentem i na tak trwałym papierze, jak gdyby szanowna korespondentka pragnęła na całe wieki pozostawić potomnym dokument, świadczący o jej ciężkiej niedoli. Dlaczego jednak ja byłem owym powiernikiem, pod adresem którego nadesłano rzeczony lamentacye—piękna kuzynka usiłuje to wytłomaczyć w swym liście. O ile mogę wyrozumieć, ma ona to przekonanie, że dziennikarz, tak jak aptekarz, posiada wszelkie lekarstwa.

„Dajecie ludziom rozmaite wskazówki i informacye (pisze ta pani), rozprawiacie o polityce, sztukach pięknych, o karbunkule, filozofii, sporcie, ekonomii politycznej, o kosmetykach, teatrze, literaturze, „dlaczegoż nie moglibyście dać rady osobie niezszczęśliwej w małżeństwie?“

Dobrze trafiła! Ale o kilka wierszy niżej zaczyna już z innej beczki:

„Wreszcie nie do dziennikarza się zwracam, do „daje, ale do przyjaciela, do kuzyna, do człowieka starszego, a więc i bogatszego doświadczeniem życiowym, obserwacją. Nie z jednego pieca chleb jadłeś, „dużo ludzi, a więc i dużo małżeństw znałeś, a zatem odczytaj mój list i radź, bo!...”

Ha! skoro pani dobrodziejka z tej beczki zaczyna, to co innego. Radzić mogę, ale uprzedzam, że rady moje nie przypadną do gustu. Wolno też je przyjmować, wolno odrzucić; ja tylko odpisuję na list...



III.

Zaraz odpisuję, tego samego dnia:

„Kochana Kuzynko! Nie wyrażam żalu i współ-
„czucia, bo to Pani w jej smutnem położeniu nic a
„nic nie pomoże; nie zachęcam Pani do „zrywania pęt“,
„ani do „walki zawziętej“, ponieważ, o ile mogłem
„wyrozumieć sytuację Pani, pęta nie są zbyt ciężkie,
„a walczyć nie ma z kim i nie ma o co.

„Proszę nie marszczyć czoła i nie gniewać się
„na swego powolnego sługę, proszę o trochę cierpli-
„wości, o przeczytanie do końca tego listu, a raczej
„tych listów, bo kilka ich będzie, potem dopiero niech
„się Pani zastanowi nad niemi i albo z nich skorzy-
„sta i zachowa je w swem biurku na pamiątkę, albo
„też wrzuci je w piec gorejący na pastwę płomieni.
„Taki, czy owaki wyrok, przyjmę z pochyloną głową
„i apelacyi zrzekam się z góry. Obecnie zastanówmy
„się, o có właściwie Pani idzie? Przeczytawszy bardzo

„uważnie jej list raz, drugi i trzeci, powziąłem niejaki wyobrażenie o panu Iksie, mógłbym nakreślić jego portret na podstawie tego, co Pani własnoręcznie napisała. Probuję:

1-o. „Jest to człowiek o powierzchowności przyjemnej, niegdyś nawet był piękny, dziś wygląda poważnie i sympatycznie, własne słowa pani.“

2-o. „Nie mogę powiedzieć, żeby był dla mnie za starym, różnica wynosi tylko dziesięć lat; on właśnie zaczął czterdziesty, a ja... ma się rozumieć, dwadzieścia sześć.“

Mniej więcej tak Pani pisze.

3-o. „Sprawy majątkowe interesują mnie bardzo mało, i nie wchodzę w to zupełnie, że mąż mój posiada majątek ziemski i kapitały w banku, które podobno z każdym rokiem powiększa.“

I to wyjątek z pani listu.

4-o. „Zdrowie ten człowiek ma żelazne. Od czasu, jak jestem jego żoną, nie zachorował ani razu. Daleka jestem od twierdzenia, że to źle, owszem, życzę mu, aby jak najdłużej takim stanem zdrowia się cieszył, ale przecież jakaś mała dolegliwość, niedyspozycja, przelotny ból głowy, byłyby urozmaiczeniem monotonnego życia. Nie chciej tego rozumieć fałszywie, kuzynie; nie posądzaj mnie o brak serca, ale przyznasz, że sam na mojem miejscu nie gniewałbyś się, mając choćby pozór, choćby tylko

„cień pozoru wyjazdu za granicę, do wód, gdzie tak „przyjemnie czas przechodzi. Przewiduję, co mi na „to odpowiesz — że można wyjechać i bez żadnego „porozumienia, że wreszcie ja mogłabym wyimagino- „wać sobie jakieś cierpienia. Co do pierwszego, mąż mój „ma niewzruszone zasady; jest to zawzięty domator, „zwolennik swojskości, dowodzi, że bogactwo nie uwal- „nia od pracy i że on (to jest okropność) ma obo- „wiązek pilnować swoich pól, wołów, koni, gorzelnii, „lasów, tak jak chłop na kilku morgach ma obo- „wiązek strzedz swego dobytku. Co do drugiego, próbo- „wałam i więcej już tego nie uczynię. Udałam raz „cierpiącą: tak się ogromnie zmartwiłam, taką mnie opie- „ką otoczył, tylu lekarzy sprowadził, że byłam umę- „czona i zażenowana... i wstydziałam się tej małej „komedyi. Chyba i lekarze poznali się na moim fi- „glu... bo przecież jestem zdrowa, zupełnie zdrowa.“

Ma Kuzynka słuszość, cóżby to byli za lekarze, gdyby nie umieli poznać się na figlach!

5-o pisze kochana Kuzynka tak:

„Na sposób obejścia się ze mną uskarżać się „nie mogę: jest uprzedzająco grzeczny i delikatny. „Humor ma zawsze jednakowy, pogodny; nie okazu- „je mi nigdy niezadowolenia, a zawsze usiłuje bawić „i zajmować. Opowiada mi czasem o swoich folwar- „kach, gospodarstwie, lecz gdy dostrzeże, że mnie to nie „zajmuje — zmienia przedmiot rozmowy natychmiast.“

6-o. „Ludzie go bardzo szanują i cenią jego „zdanie wysoko. Nieraz przyjeżdżają sąsiedzi, aby „zasięgnąć jego rady w rozmaitych kwestyach, wkła- „dają na niego obowiązki honorowe, powołują na „opiekuna sierot, rozjemcę sporów, a on pomimo, że „ma dość własnych zajęć, nie wymawia się, przy- „muje wszystko.“

Oto jest sylwetka oskarżonego, według własnych słów oskarżycielki, same cytaty z Pani listów. Obaczmy teraz, o co go Pani obwinia, co właściwie popełnił, czem zatrul Pani życie, tak bardzo, że aż Ci się ono staje nieznośnym ciężarem!... Pomimo bardzo usilnych poszukiwań w liście Twoim, piękna Kuzynko, nie mogę znaleźć żadnych zarzutów określonych ściśle. Same ogólniki, westchnienia i żale: życie obrzydło, świat się przykry, wzdycham do wolności, do moich dawnych ideałów, o czem innem zupełnie marzyłam. Otóż, racz Pani to bardziej szczegółowo określić, racz powiedzieć szczerze, co Ci mianowicie dolega, czego pragniesz, do czego się Twoja dusza wyrywa?...

IV.

Co za punktualność, jaka punktualność!! Mógłbym myśleć, że koresponduję z jakim fabrykantem niemcem, pedantem z krwi, wychowania i przyzwyczajzeń, nie zaś z młodą ładną, a zapewne i trochę kapryśną kobietą. W trzy dni przychodzi odpowiedź na list, odpowiedź obszerna, chociaż jeszcze bynajmniej nie wyczerpująca. Naprzykład, nie mogę z niej w żaden sposób wyrozumieć, czy Pani męża swego kocha, czy nie? Czy wychodząc za niego, mogłaś szczerze i bez zarumienienia się, nie kłamiąc, powiedzieć mu, że łączysz się z nim na zawsze, na dobre i na złe losy, aż do śmierci? To wiedzieć muszę przedewszystkiem, jeżeli zostałem mianowany doradcą i zaszczycony zaufaniem.

Ustęp listu o dwóch motylkach bujających w powietrzu, przenoszących się na barwnych skrzydełkach leciutko, z kwiatka na kwiatek, z gałązki na gałązkę, pełen jest poetycznego wdzięku. Dwa mo-

tylki, dwa ptaszki, dwie gwiazdki, to harmonia. Rzeczywiście, piękna Pani, dodałbym jeszcze, że dwa woły w jarzmie, dwoje spracowanych żeńców na zagonie, to także harmonia; ale wół z motylkiem, człowiek z ptaszkiem, to już, Pani Dobrodziejko, nie harmonia, to fałszywy akord, dysonans.

I tak mi z tej poetycznej przez Panią użytej alegoryi wypada, że właśnie wasze małżeństwo jest jakoby takim dysonansem. Ubliżyłbym małżonkowi Pani, gdybym chciał porównywać Go do wółu, boć przecież, jak widzę z Pani listu, jest w nim coś więcej nad siłę i zdrowie, sama Pani przyznaje, że ma prawy charakter i że go ludzie szanują — ale i Pani nie chcę porównywać ani do motylka, ani do ptaszka... Byłaby to impertynencya dla kobiety — jako dla człowieka — i jeżeli mamy doprowadzić tę korespondencyę do końca i traktować poważnie kwestyę jako kwestyę, to postanówmy sobie nie mieszać do dyskusyi siołków, konwalij, jaśminów, ani słowika, ani księżyca, ani gwiazdek — tylko ludzi. Będzie to prozaicznie, ale lepiej. I gdyby Pani w swym liście nie była goniła za motylkami i ptaszkami, to może zdołałaby lepiej sformułować zarzuty przeciwko swemu mężowi; tymczasem tak je Pani umiała otulić w gęsty welon porównań i przenośni, że ani sposób dobrać się do tak zwanej przez zwykłych śmiertelników „istoty rzeczy.“

„Ja mu nie mogę nic zarzucić, pisze Pani, a je-
„dnak czuję, że to dla mnie towarzysz za poważny.
„I zdaje mi się, że źle uczyniłam, oddając mu swą rę-
„kę. Co jednak było robić? Wiesz dobrze, kochany
„Kuzynie, że rodzice moi byli biedni, a po śmierci
„ojca matka prawie nie miała z czego żyć, a prze-
„cież była jeszcze młodsza siostra. Jedynym środ-
„kiem utrzymania dla nas trzech, to jest dla matki,
„Jadwisi i mnie, było to, co ja zarobiłam lekcyami.
„Krucha to podstawa bytu, tembardziej, że matka z wie-
„kiem coraz więcej zdrowie traciła, trzeba jej było za-
„pewnić wygody, lepsze pożywienie, dawać wzma-
„cniające wina i lekarstwa. Nieraz byłam w rozpa-
„czy, co zrobię? Może, kochany Kuzynie, o tem wiesz,
„może nie wiesz, ale ja zabijałam się pracą; od wcze-
„snego ranka do późnej nocy cały czas poświęcałam
„moim uczennicom, a jednak nie zarabiałam tyle, żeby
„mogło na wszystko wystarczyć. Z niesłychaną oba-
„wą, z trwogą, która przejmowała mnie dreszczem,
„spoglądałam w przyszłość straszną, niepewną; gdy
„wtém, zupełnie niespodziewanie, spotkałam w to-
„warzystwie dzisiejszego męża mego, Henryka. Podo-
„bałam mu się, a w trzy miesiące potem zostałam
„jego żoną. Osądź sam, czy mogłam postąpić ina-
„czej? Matka, uszczęśliwiona mojem zamażpójściem,
„ostatni rok życia przepędziła w największych wygo-
„dach i umarła z uśmiechem na ustach, dziękując

„Bogu, że ja jestem szczęśliwa (!). Siostrę młodszą „wydałam zamaż, za kuzyna mego męża, człowieka „mniej zamożnego niż on, ale mającego byt zabezpieczony. I w taki sposób ostatecznie rozwiązała się „zagadka, trapiąca biedną nauczycielkę. Rozwiązała „się pomyślnie—a jednak... kto wie, czy nie byłabym „szczęśliwszą, wyszedłszy za biedaka, na twardą dolę, „na pracę. Możeby on mnie lepiej zrozumiał, może „troska o chleb nie dopuszczałaby do głowy tych „myśli, które tłoczą się w niej niby ciężkie chmury, „grożąc burzą... Ja nie mówię że Henryk jest zły człowiek, że mnie nie ocenia, nie kocha, ale uciekłabym „chętnie za dziesiątą granicę, ukryła się za górami, za „morzami, byle nie być tu, gdzie mi niby tak dobrze.“

Otóż to, kochana Kuzyneczko, owo „niby“ jest najgorsze. Przyjdziemy jeszcze i do tego punktu, ale pozwól, że cokolwiek zboczę z prostej drogi. Kochana kuzynka w swojej wspaniałej rezydencji dzisiejszej, gdzie, jak się dowiaduję z listów, jest kilkanaście pokoi, śliczny ogród, cienisty park, staw, a na nim łódki do spaceru, nie myśli zapewne o tem, że można mieszkać w jednej ponurej izbie, mieć widok na ciasne podwórko i na oficynę, w której gnieździ się niezamożna ludność miejska. Ja właśnie w jednej takiej ponurej stancyi mieszkam, na oficynę codziennie patrzę i w niej na niejedno zapytanie kuzynki odpowiedź znajduję.

Oto naprzykład na pierwszym piętrze mieszka dziwne małżeństwo. Mąż ma przynajmniej sześćdziesiąt lat wieku, brzydki jak grzech śmiertelny, chory, przez połowę sparaliżowany, a żona śliczna, młoda kobieta. Wyobraża pani sobie zapewne, że tych dwoje ludzi żyje z sobą jak pies z kotem i że (oprócz Pani naturalnie) nie masz nieszczęśliwszej istoty nad ten świeży, do życia uśmiechnięty kwiatek, przypięty do starego kożucha. Bynajmniej — małżeństwo to jest zgodne i żyje przykładowie. On nie wychodzi z domu nigdy, ona tylko godzinę, dwie po za domem przepędza. Chodzi do kościoła i na targ, czasem odwiedza rodziców i rodzeństwo. Ojciec jej był ślusarzem, pracując przy fabryce, uległ kalectwu i zbiedniał. Nie miał dość siły, aby jako robotnik przy warsztacie mógł stanąć, ani też dość pieniędzy, aby warsztat założyć i czeladników przyjąć; bieda zaglądała do domu, trzeba było wyprzedawać potrosze ruchomości, aby mieć na chleb. Ten biedny człowiek miał czworo dzieci: córkę siedemnastoletnią dziewczynę i troje drobiazgu. Żona jego również nie domagała na zdrowiu. Położenie było bardzo trudne. W czasie najkrytyczniejszym przez osobę trzecią zgłosił się ów człowiek chory, z propozycją, aby Mania została jego żoną. Wdowiec był wszelkiej opieki pozbawiony, a względnie do swojej sfery zamożny. Obiecał dopomóc rodzicom dziewczyny, a po śmierci jego całe mienie miało

przejsć na nią. Mania nie namyślała się długo, i już od dwóch lat spełnia obowiązki siostry miłosierdzia przy tym schorowanym człowieku. Ojciec jej założył warsztat, przyjął czeladników, roboty ma sporo i już chleba w domu teraz nie brakuje. Dowiadywałem się, jakie też jest położenie tak niedobrej pary? Zaręczono mi, że jak najlepsze. Chory otoczony jest troskliwą opieką, a Mania ma tę pociechę, że widzi rodziców swych i rodzeństwo zabezpieczone od nędzy. Ta prosta dziewczyna, córka rzemieślnika, nie narzeka na swój los i nie rozpacza; pielęgnuje chorego, szanuje go i ma dla niego uczucie wdzięczności za to, że przyszedł z pomocą jej ojcu. Jestem prawie pewny, że gdy mąż jej umrze, ona szczerze i bez obłudy po nim zapłacze. Zasady religijne chronią ją od wszelkich pokus i jest żoną uczciwą.

Może niepotrzebnie wplotłem do dzisiejszego listu tę opowieść, ale już nie rozedrę tej karteczki, niech zostanie, a na zakończenie rzucę pytanie: czy też starałaś się Pani kiedy poznać bliżej te przedmioty, te sprawy, które interesują Twego męża? Chciałbym o tem wiedzieć.

V.

Widocznie obrazila się. Upłynęło trzy dni, tydzień, półtora, listu jak nie ma, tak nie ma. Widocznie kaprys już przeszedł, pisanie sprzykrzyło się, jakaś nowa myśl, czy nowy przedmiot, zajął panią Anielę. Jak jej się podoba, możemy na tem korespondencyę zakończyć.

Ale nie. Po dwóch tygodniach znów długa i wazka koperta znalazła się na mojem biurku. Tym razem list był krótszy niż poprzedni.

„Na co mi Pan opisywał historyę owej biednej „dziewczyny? Czy to ma być aluzya? Ja przecież „nie zostałam żoną sparaliżowanego starca i nie podjęłam się pielęgnować go aż do zgonu, a gdybym „była w tem położeniu, gdybym była przyjęła na siebie tym podobne zobowiązania, to spełniałabym je „nie gorzej niż owa dziewczyna, którą szanowny Kuzynek zdajesz się uwielbiać. Przyznam się szczerze,

„że przykro mi było po przeczytaniu owej przymówki, „o mała, żem się nie rozplakała. Czy każesz mi Pan „szukać wzorów postępowania w owej oficynie, wśród „sfery ludzi niewykształconych, prostaków?“

Bardzo pięknie, że się Pani gniewa, pisałem w następnym liście, to dowód, że lekarstwo skutkuje. Oto już się Pani zastanawia, już Pani myśli, a to coś znaczy. Z listu Pani jednak widzę, że zastanowiłaś się nad waszym wzajemnym stosunkiem, że robiłaś pewnego rodzaju obrachunek waszej wspólki. Ślusznie, boć w gruncie rzeczy wspólka to jest: On wniósł do niej dobry charakter, stanowisko, majątek, pracę, energię, zdrowie, wreszcie wielkie przywiązanie do Pani — Pani zaś wniosła urodę, wdzięk, inteligencję, i... otóż to, że nie mogę się dowiedzieć dokładnie i co jeszcze? Gdybyś, szanowna Kuzyneczko, wniosła szczerę, serdeczną przywiązaną, gdybyś ukochała i jego samego, i jego dążenia, i jego pracę, gdybyś cieszyła się jego powodzeniem, a martwiła przeciwnościami, wspólka wasza byłaby lepszą, a wkład twój, Pani, zrównałby się z jego wkładem. Dziś wyglądacie jak dwaj kupcy, z których jeden pracuje, zabiega, całą inteligencją i energią wkłada i zużywa na to, aby interesy wspólki szły wybornie, drugi zaś nudzi się i ziewa, a nie ciekawy jest nawet dowiedzieć się, co się dzieje. Przykro Pani było, że zacytowałem przykład poczerpnięty z życia ludzi sfery niższej. Czy sądzisz

Pani, że od niej niczego nauczyć się nie można! Błędne to mniemanie. Ja widziałem małżeństwo, którego całem mieniem było kilka morgów lichego gruntu, wpół rozwalona chata i chuda krowa; widziałem, jak on zaprzęgał tę krowinę do pluga i orał, a kiedy trzeba było rolę zbronować, to oboje z żoną ciągnęli bronę po polu, bo konia własnego nie posiadali, a najać cudzego nie mieli za co. Po kilku latach takiej ciężkiej wspólnej pracy położenie ich zmieniło się znacznie. Chałupa i stodołka odnowiona, w stajni koń, a w oborze dwie krowy. Kto wie, czy za lat kilka nie przykupią jeszcze kilku morgów i nie powiększą swego gospodarstwa. Może komu wyda się bardzo prozaiczną historią tych dwojga robotników, prostych, nieokrzyszanych — ale jeżeli zechcemy się bliżej przypatrzeć ich pozycy, dostrzeżemy w niem kilka bardzo cennych zalet. Przedewszystkiem wspólność pracy, wspólność interesów, celów i dążeń. Ci ludzie mogą powiedzieć, że ich szczupłe mienie jest ich własnem mieniem, każdy kęs chleba, jaki spożywają, owocem ich własnej pracy. Nie masz u nich podziału na moje i twoje, a o wszystkim, co mają, o wszystkim, co do nich należy, mogą powiedzieć — to nasze. Dlaczego Pani czasem nie zapyta swego męża o urodzaje, o zbiory, o stan robót w polu? Dlaczego nie zaproponuje mu Pani ze swej strony pomocy, choćby tylko w rachunkach? Dlaczego nie

weźmie Pani na swoje własne barki jakiejś drobnej, drobniotkiej cząsteczki jego pracy?

Z listu szanownej Kuzynki widzę, że nawet zarząd domu niewiele ją obchodzi; siedzi sobie Pani, jak księżniczka wschodnia, a liczna służba spełnia jej każde życzenie. Czem Pani wypełnia cały dzień? „spacer, fortepian, książki, czasem goście. Po za tem smutek i smutek.“ To słowa Pani własne, to wyjątek z jednego Jej listu. Wierzę, że tak jest i ubolewam nad Panią, kochana Kuzynko, ale to, co Pani nazywasz smutkiem, bynajmniej smutkiem nie jest, to tylko nudy, wynikające z braku zatrudnienia, nudy okropne, mogące człowieka doprowadzić do rozpaczy.

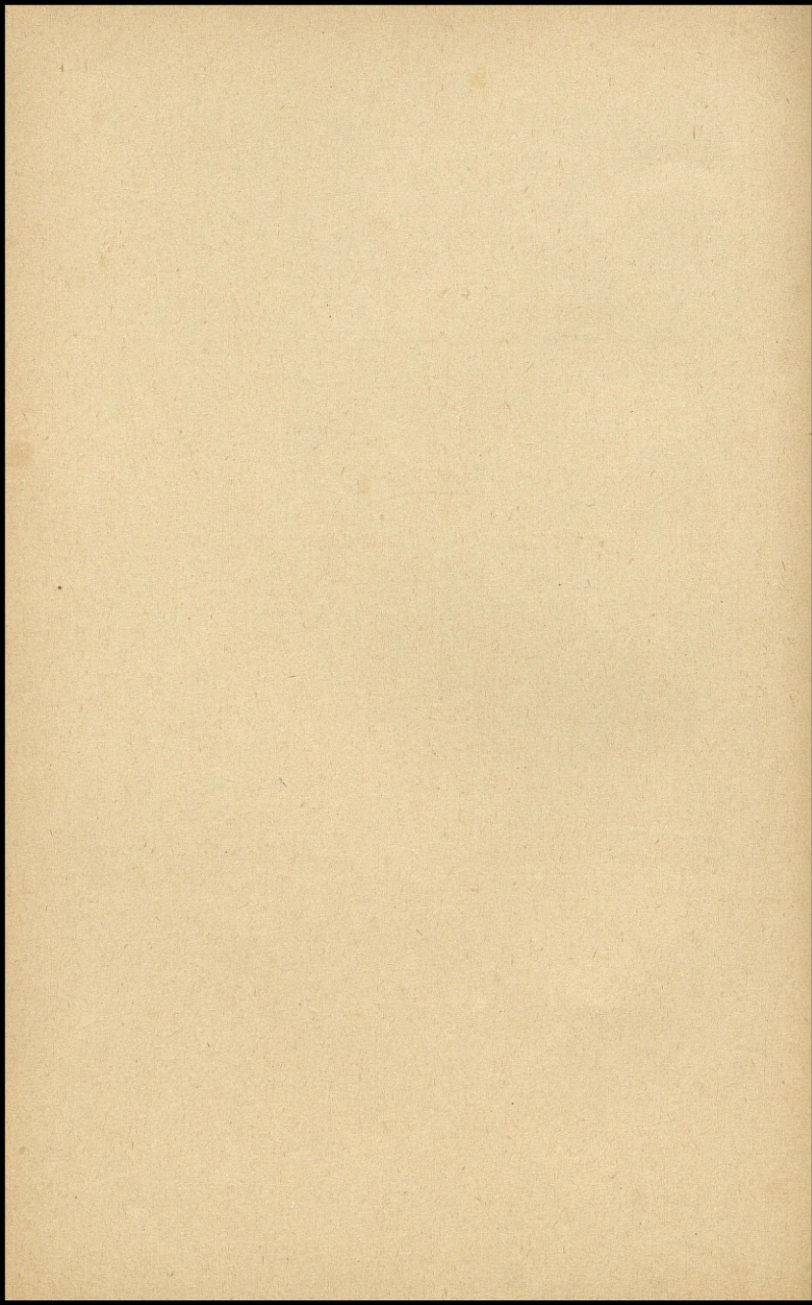
Tak, tak, Kuzynko, to straszna choroba, a jednak jest na nią lekarstwo niedrogie, dostępne nawet dla biedaka. Ja chyba ten list przerwę... jestem bowiem przekonany, że go Pani w piec wrzucisz i powiesz: Co za nieznośny dziad! zamiast dobrej rady, o jaką go prosiłam, prawi mi morały, stawia za wzór babę wiejską, opaloną, zakurzoną, ciągnącą razem ze swym mężem, oczywiście także niezdarnym chłopem, bronę po polu...

Prawda, że tak będzie? Ale jakkolwiek się stanie, czy list ten pójdzie do pieca, czy też będzie schowany, zdaje mi się, że kochana Kuzynka wysnuje z niego kilka wniosków, choćby tylko trzy, a mianowicie. że jeżeli kto wychodzi zamaż przez poświęce-

nie się dla rodziny, jeżeli wyrzeka się osobistych pragnień dla szczęścia swoich najbliższych i przyjmuje na siebie przykre zobowiązania — to powinien je spełniać tak sumiennie i uczciwie, jak owa córka rzemieślnika. Że jeżeli ktoś wychodzi zamąż na to, aby pracować wspólnie i razem z towarzyszem swoim walczyć o byt, to powinien tak pracować gorliwie, jak ta młoda chłopka na zagonie.

I nareszcie, trzeci, najważniejszy wniosek, dający się zastosować do ludzi wszelkich sfer społecznych i towarzyskich, najrozmaitszych stanów majątkowych, jest ten: że jeżeli kto chce nie znać, co nudy, co jakieś urojone nieszczęścia, niech wynajdzie sobie zatrudnienie, niech je ukocha, niech mu się od-da całą duszą...

Jeżeli, kochana Kuzynko, takie wnioski z mego listu wysnujesz, jeżeli zastanowisz się nad nimi, a zechcesz je choćby potrosze i stopniowo wprowadzać w czyn, w takim razie twój świat nudów istnieć przestanie, rozpadnie się w puch, obróci w nicość, a na jego miejscu zjawi się nowy świat czynu i uczuć, w którym będzie ci dobrze.



VI.

„I kogóż tam jeszcze, szanowny Kuzynku, nu-
„dziarzu niepoprawny, wywleczesz na scenę z bo-
„gatego repertuaru ślusarzy, szewców, chłopów?...
„Chyba brakuje już tylko zaszarganej żydówki z za-
„Żelaznej Bramy, przekupki sprzedającej jabłka i po-
„marańcze?...

„Nie żałuj sobie tej przyjemności. Wprowadź
„jaką zaszarganą Surę na piedestał, daj jej oświetle-
„nie wspaniałe, dekorację przepyszną, syp jej kwiaty
„pod zabłocone trzewiki, na zrudziałą perukę włóż
„wieniec laurowy, i wołaj do swej kuzynki, do mnie:
„Oto ideał kobiety, ideał żony, wzór do naśladowania!
„Ja to przyjmę, tak jak przyjąłam jakąś Manię z ofi-
„cyny i chłopkę z Wólki. Pozwól sobie, pozwól,
„znęcaj się nad bezbroną ofiarą, której cała wina
„w tem, że z zaufaniem zupełnem otworzyła serce
„przed Tobą i żądała przyjacielskiej, życziwej rady.

„Co za idea dzika brać wszystko naodwrot i zamiast „szukać wzorów i przykładów wyżej, w lepszych „sferach, schylać się po nie nisko, jak tylko można „najniżej. Zdaje mi się, szanowny Kuzynie, że gdy- „by ci kto kazał szukać słońca, z pochyloną głową, „zapatrzony w ziemię, poszedłbyś pewnie do pi- „wnicy“

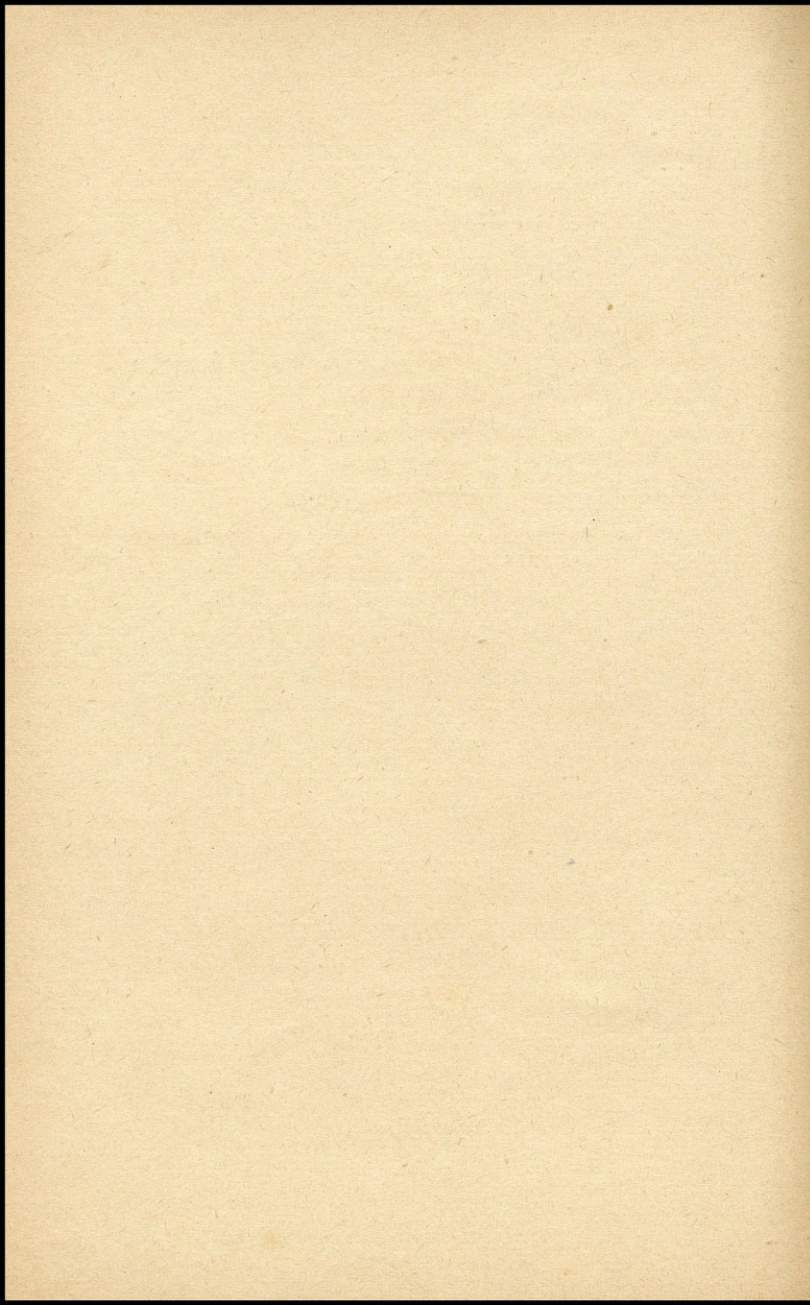
Brawo, Kuzynko, brawo! Twoje oburzenie, twój gniew zachwyca mnie, po słońce ja do piwnicy nie pójdę, ale jeżeli chodzi o tę naukę, którą daje życie, to jak najchętniej udam się nietylko na pole i do piwnicy, ale i do głębokich kopalni, w których pracują górnicy. I radzę ci, Kuzyneczko, że jeżeli zechcesz zobaczyć odwagę i śmiałość, a nawet najpiękniejsze wzory poświęcenia, to spuść się na kilkaset łokci pod ziemię, do czarnych przepaści, a znajdziesz je tam. Znacznie to głębiej niż w piwnicy, do której mnie po słońce posyłasz.

Co się tycze owej zaszarganej żydówki, dlaczego nie? Nie trzeba jej stawiać na piedestale, nie trzeba wieńczyć, ani bengalskimi ogniami oświetlać, ale dość poznać jej położenie rodzinne i obowiązki, jakie ma do spełnienia. Jak kto inny szuka w małżeństwie uczucia, majątku, pozycyi towarzyskiej, tytułów lub protekcji, tak ta szukała wielkiego honoru: marzeniem jej było mieć męża niesłychanie uczonego i mnóstwo dzieci. Jakoż dostała wielkiego myśliciela,

filozofa w jej przekonaniu, a w gruncie rzeczy nie-
dołęgę i idyotę, niezdolnego zupełnie do życia w tem
znaczeniu, jak my je rozumiemy, nie mającego poję-
cia o obowiązkach męża i ojca rodziny. Nie zajmuje
on się niczem pożytecznem, cały dzień przepędza
nad książkami, niezdolny jest zarobić nawet tyle,
żeby mógł dać chociażby suchy kawałek chleba żo-
nie swojej i dzieciom. I ta zaszargana żydówka żywi
go swoim własnym przemysłem, żywi męża i dzieci,
których ma siedmioro. A czem żywi? Dziesięcioma
rublami, stanowiącemi cały jej majątek. Kupuje,
sprzedaje i znów kupuje, cały dzień biega po ulicach
obarczona kosztami, zadyszana, zmęczona, upadająca
nieraz pod ciężarem. Zgadzam się najzupełniej z sza-
nowną Kuzynką, że nie jest to typ pociągający swoją
powierzchnością, ale jako żonie i matce, jako ko-
biecie dźwigającej na swych barkach cały ciężar
utrzymania głupowatego męża i dzieci, trzeba jej od-
dać sprawiedliwość. Ona ma ciężkie zadanie i su-
miennie je spełnia. Jeżeli idzie o przykład, brać go
z niej można. A, szanowna Kuzynko, oprócz tej ży-
dówki, mógłbym przedstawić jeszcze inne typy ze
sfery pracującej nietylko fizycznie, ale i umysłowo.
Zwiedź tylko rozmaite oficyny i poddasza w wielkich
miastach, pofatyguj się na trzecie i czwarte piętra,
bo ta niedola wysoko się gnieździ. Wyobraź sobie,
że są rodziny, w których mąż i ojciec pracować nie

może, bo go ciężka choroba powaliła, albo poseadę utracił, albo poprostu pijak jest lub hultaj, na złą drogę poszedł, żonę i dzieci porzucił, na pastwę losu zostawił. Pójdź, kochana Pani i zobacz, co robią te nieszczęśliwe. Same są, cały ciężar na nie spadł, a czy opuszczają ręce? Pracują. Pani Dobrodziejko, i jak pracują, pomimo, że niejedna z nich pochodzi z takiej sfery, w której dziewcząt pracować nie uczą. One jednak naturę własną przewyciężają, wszelkie przyzwyczajenia przemogą, nauczą się robić tego, czego nigdy w swem życiu nie robiły, pokonywać trudności, walczyć z bezsennością, głodem, wstrzymać łzy, które się cisną do oczu. Są to poprostu bohaterki, tem godniejsze szacunku, że ciche, nieznanne, że świat o nich nie wie. A wiesz, Pani, kto był ich przewodnikiem w niedoli, nauczycielem? Serce, tylko serce! Miłość, przywiązanie dla męża kaleki, dla dzieci, zaprowadziła je na wyżyny poświęceń. Widzi Pani Dobrodziejka, że nie zawadzi, jak się Pani obrazowo wyraża, zaglądać czasem do piwnic, a jeżeli Pani chcesz studyować tak zwaną „kwestyę małżeńską“, to nie zagładaj do marnych romansów francuskich, nie szukaj wzorów w rozpróżnianej sferze ludzi, których jedynym celem życia jest zabawa i tak zwane „zabijanie czasu“, ale idź tam, gdzie dusze ożywia wiara prosta, ta, co góry przenosi, gdzie serca pełne uczuć szczerych, a ręce i głowy

wciąż zatrudnione. Trafiają się i w tych nizinach objawy brzydkie i wstrętne, ale, doprawdy, więcej jest dobrych — i tylko człowiek sam z gruntu zły i zepsuty dostrzedz ich nie potrafi. I gdy Pani zejdziesz trochę niżej, gdy poznasz ludzkie nędzy i życie, gdy zobaczysz wielkie poświęcenia, i wielkie prace i wielki niedostatek, to ci się własne życie, choćby ono było tylko zaledwie znośnem, wyda szczęśliwem. Jeśli będziesz miała w danej chwili w ręku chleb lub garść pieniędzy, to ogarnie cię nieprzeparta chęć podzielenia tego chleba i tych monet między nieszczęśliwych i ubogich, aby im ulżyć, a kiedy im ulżysz wówczas sama uczujesz taką lekkość i błogość, jak gdyby ci wielki kamień spadł z piersi. Trzeba schodzić niżej, trzeba widzieć, co się tam dzieje, a szczególnie obowiązkowe to jest dla tych, których los wyżej postawił. Polecam to uwadze Pani Dobrodziejki.



VII

Następny list jest bez wymówek i bez burzy— już ani słowa o chłopce, ani wzmianki o żydówce. Ton spokojny, trochę poważniejszy, mniej lamentu i uzalania się na losy. Musiało się w domu stać coś takiego, co pchnęło myśli pani Anieli w nowym kierunku. Jest i komis, którym z nieśmiałością obarcza swego kuzyna i korespondenta. Mam kupić amazonkę i kapelusz. Aha, będziemy więc jeździli konno. Śliczna idea! Taki sport nie zaszkodzi; owszem, zba wienny jest dla zdrowia, a jako rozrywka, należy do najprzyjemniejszych. Oczywiście w tej chwili udałem się do sklepów, kupiłem, co mi polecono, i wysłałem paczkę na pocztę. „Przepraszam najmocniej, że cię, „szanowny Kuzynie, trudzę, były słowa listu, ale „idzie o pościech. Przyszła mi myśl, może szczęśli- „wa, może nie, aby czasem towarzyszyć Henrykowi

„w jego wycieczkach gospodarskich. Trzeba zoba-
 „czyć nareszcie, jak wyglądają zblizka te pola, lasy
 „i łąki, o których ciągle słyszę. Nie wyjawię jednak
 „mężowi tego zamiaru, aż mieć będę wszystko, co
 „mi do takiej wycieczki potrzeba. Gdybym mu wspo-
 „mniała o tem naprzód, natychmiast posłałby ko-
 „go do Warszawy naumyślnie, lub sam pojechał
 „i w czwórnasób wszystko przepłacił, po co?

„Dziś przy obiedzie zapytałam go, ile ma wo-
 „łów? Uważałam, że go to zapytanie niezmiernie
 „zdziwiło. Zrobił wielkie oczy i zanim odpowiedział,
 „zwrócił moją uwagę, że woły nie są jego, lecz na-
 „sze. Co prawda, on jest zawsze bardzo uprzejmy
 „i nie ominie żadnej sposobności powiedzenia mi cze-
 „go przyjemnego. Pokazuje się, że tych nieszczęsnych
 „wołów jest bardzo dużo. Pytałam, czem są żywio-
 „ne, ile kosztuje ich utrzymanie i jakie z tego są
 „zyski?

„Niedowierzał jakoś szczerości tego zapytania...
 „Patrzył na mnie badawczo i rzekł (powtarzam roz-
 „mowę dosłownie):

„— Dlaczego zapytujesz o to?

„— Bo, jak sam powiedziałaś przed chwilą, są
 „to nasze woły.

„Zerwał się z krzesła i pocałował mnie w rękę.

„— Dziękuję — rzekł — serdecznie dziękuję. Nie

„masz może pojęcia, ile przyjemności zrobiłaś mi
„tem zapytaniem.

„Z niezmiernem ożywieniem opowiadać mi za-
„czął o wielkiem gospodarstwie, jakie prowadzi, a trze-
„ba wiedzieć, że gospodarstwo jest to przedmiot, do
„którego on się umie zapalać, nawet entuzjazmować.
„Kiedy mówi o niem, znać, że nad przedmiotem tym
„pracuje, że go zna doskonale, że oddaje mu się
„z całym zamiłowaniem. Ja, co prawda, nie podzielam
„tych zachwyty, ale muszę przyznać, że opowiada-
„nie, a raczej wykład tego przedmiotu, bo naprawdę
„był to wykład, rodzaj wstępnej prelekcji, zajęło
„mnie żywo. On mówił, jak trzeba ziemię znać do-
„brze, aby ją skłonić do wytwarzania największej ilości
„tych roślin, które mieć pragniemy, jak gruntownie
„trzeba badać właściwości tych roślin, ich życie i po-
„trzeby. Mówił o tem, jakie to jest rozległe pole
„pracy, ile wymaga nauk i wiadomości pomocniczych,
„przez ile czasu ludzkość badała te tajniki natury,
„aby się dowiedzieć, w jaki sposób obchodzić się
„z ziemią. Słuchałam z wielkiem zajęciem, gdyż
„istotnie dla mnie były to zupełnie nowe rzeczy.
„Wyobrażałam sobie zawsze, że rolnictwo wymaga
„najmniej inteligencji ze wszystkich gałęzi pracy
„ludzkiej i wogóle dość lekko traktowałam rolników.
„Cóż-bo wielkiego—myślałam—nająć ludzi, i kazać im,
„aby zebrali zboże i zwieźli je do stodoł. To prze-

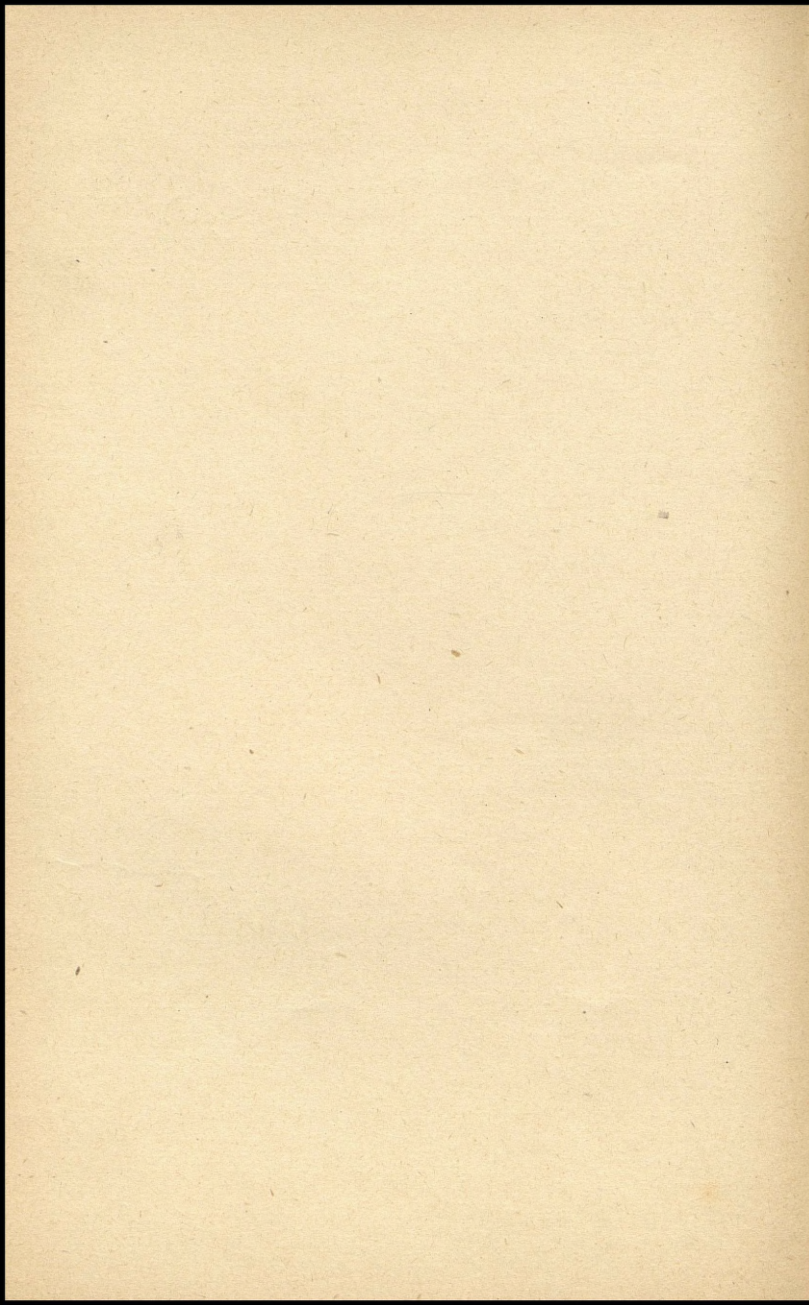
„cież potrafi każdy. Od dzisiejszej rozmowy z Henrykiem przekonałam się, że byłam w grubym błędzie.

„Muszę go poprosić, żeby mi jeszcze kiedyś o tym przedmiocie opowiedział, tembardziej, iż widzę, że mu to sprawia wielką przyjemność. Cały czas po obiedzie do późnego wieczoru przepędził ze mną. Chodziliśmy po ogrodzie, rozmawiali długo, długo. On ma powierzchowność bardzo sympatyczną, ale jak się ożywi, jest zupełnie przystojny.

„Poprosiłam, żebyśmy poszli na folwark; było to już o samym zachodzie słońca, kiedy inwentarz z pastwisk powrócił. Co tam krów, co koni, a jakie ładne źrebiątka! Najbardziej ubawiłam się w owczarni; owce, jagnięta chwytają mnie za ręce, jak gdyby dopominając się o pieszczotę, czy o przysmak. Bardzo miłe stworzenia. Za tydzień wszystkie mają być umyte i ostrzyżone. Muszę zobaczyć, jak się to robi. Wybieram się na wieś, sama, bez męża; chcę się przekonać, jak wyglądają wewnątrz te małe domki chłopskie, które widuję czasem przejeżdżając. Chcę zbadać, jak ci biedni ludzie żyją i czy im czego nie potrzeba.

„Jestem teraz trochę zajęta, bo mam wiele różnych projektów, którebym chciała wykonać, dlatego i ten list jest pobieżny i krótki, powetuję to za przyszłym razem, jak znajdę więcej chwil swobo-

„dnych, powetuję, gdyż mam się z kochanym Kuzy-
„nem o wiele, wiele rzeczy posprzeczać, pokłócić
„a także za niektóre podziękować. Ale to później
„dziś nie mogę. Doznaję w tej chwili różnorodnych
„wrażeń. A proszę pamiętać o sprawunku, szczerze
„wdzięczna będę za pośpiech“.



VIII.

Znów dłuższa przerwa.

Szanowna korespondentka umilkła, listu jak nie widać, tak nie widać. Należy przypuszczać, że winien temu karnawał, który właśnie tylko co się rozpoczął. Ten bożek pustoty i wesołości ma i na wsi, nawet w najodleglejszych zakątkach, swoich zwolenników. Bezwątpienia pani Aniela do ich liczby należy. Trudno żądać, żeby w takim czasie ważnym o pisaniu listów myślała; może właśnie umysł jej zajęty jest w tej chwili wytwarzaniem projektów zabaw, jakie u siebie urządzić zamierza, lub też obmyślaniem wykwintnych strojów, mogących olśnić brzydką, a doprowadzić do najgorszej zazdrości piękniejszą połowę towarzystwa. Ponieważ góra nie chciała przyjść do Mahometa, więc Mahomet przyszedł sam do góry. Nie pisze moja korespondentka, trzeba napisać do niej, i skoro zaczęło się korespondencyę, nie przerywać jej w połowie.

A więc...

Pani dobrodziejko, cóż znaczy ta cisza?

Czy ma zwiastować burzę, czy też... nie chcę się domyślać reszty, i jak na teraz, chociaż niepytany i nieproszony, odzywam się. Trzeba przyjść przecież do jakiegoś porozumienia, do konkluzyi, do wniosków stanowczych, trzeba postawić kropkę nad *i*.

A więc opiszę Pani krótką historyjkę z prawdziwego zdarzenia, z życia, bynajmniej nie z fantazyi, gdyż trzymam się warunków naszej umowy, na mocy której wszelka fantazyja z tych listów stanowczo została wykluczona.

Tym razem materiału dostarczy nam nie oficyna, do której pani widocznie coś cierpi, nie chłopska chata (miała ją Pani Dobrodziejka studyować), ale front. Front, szanowna Pani, pierwsze piętro, ośm pokoi ze wszelkimi wygodami, łazienka, marmurowe schody, stylowe meble, dywany, portyery, rzeźby obrazy... To już nie piwnice przecież, ale „świat.“ W apartamencie, o którym mowa, mieszka małżeństwo. Żyją z sobą ci państwo siedm, czy ośm lat... ale przepraszam, źle się wyraziłem, powinienem był powiedzieć: żyli z sobą siedm, czy ośm lat, gdyż obecnie rozeszli się. W apartamencie pozostał pan, pani zaś przeniosła się na mieszkanie do swych rodziców, zabrawszy z sobą czteroletniego panicza—bo jest i panicz.

Rozstanie się nastąpiło wedle wszelkich form prawnych; już jest separacya, teraz toczy się proces

rozwodowy i według wszelkiego prawdopodobieństwa, za rok lub półtora więzy, w które ci państwo zakuli się dobrowolnie na całe życie — pękną. Pan pójdzie w swoją stronę, pani w swoją. Pan znajdzie sobie inną pannę, pani innego pana, i znów, zacznie się koncert nudów i ziewania, ale już nie na dwa, tylko na cztery głosy.

Historia tych dwojga ludzi z apartamentu jest krótka. Poznali się na balu publicznym, a że on miał kamienicę dużą, a ona jeszcze większą, więc przyszedli bez żadnej trudności do przekonania, że kamienica jedna i kamienica druga, to są dwie kamienice.

Zrobiwszy to odkrycie, on zaprosił ją do walca, a ona przyłgnęła do jego ramienia tak dokładnie, jak, dajmy na to, dom trzypiętrowy Nr. 9563a do takiegoż domu Nr. 9563b. Rodzice uznali, że młodzi są tak doskonale dobrani, jak dwa domy, mające jedną ścianę wspólną. Na drugim balu, w kontredansie, on dał jej do zrozumienia, że ją kocha, na co otrzymał odpowiedź, że jej to wcale przykrości nie sprawia. Złożył rodzicom wizytę pierwszą i drugą jako miły i pożądany gość, a na trzeciej miał już tytuł narzeczonego. Potem poszło już wszystko bardzo szybko, gładko i bez przeszkód. Wspaniała wyprawa, intercyza, ślub, świetne wesele i wyjazd za granicę, bo przecież bez tego ani rusz. Ona była zachwycona zmianą losu i z tej zapewne racji, obecnie w sprawie rozwodo-

wej dowodzi, że padła ofiarą... przymusu ze strony rodziców.

Po powrocie z podróży poślubnej młoda para zajęła ów wspaniały apartament i zaczęła „żyć“, to znaczy prowadzić tak zwany „dom otwarty“, czyli bywać w świącie, przyjmować gości, obchodzić wszelkie karnawały: wiosenne, letnie, jesienne i zimowe. Wie Pani przecież, jak to jest. Pani tyle tylko miała do roboty, co myśleć o strojach i flircie, bo nawet gdy przybył panicz, nie zajmowała się nim sama, zdawszy to na ręce płaćne—a pan, trudził się podnoszeniem komornego i obcinaniem kuponów. Dla rozmaitości i dla tytułu miał urząd w jakimś towarzystwie akcyjnym, urząd, który mu pochłaniał około dwunastu, czy nawet piętnastu godzin czasu rocznie.

Oboje państwo nudzili się. Ona ożywiała się jedynie w towarzystwie, on zaś był zupełnie innym człowiekiem za domem, a innym w domu. Mogłoby się zdawać, że ów świetny apartament, za wyjątkiem chwil, w których przyjmował w nim gości, trzymał specjalnie do spania, ziewania i bardzo fachowej, trzeba mu to przyznać, umiejętnej i pełnej głębokiej erudycji krytyki... obiadów.

Grywał codziennie w karty w dobranem towarzystwie, puszczał się na hazard podczas wyścigów, co parę lat, z zachowaniem ostrożności, kusił fortunę na Rivierze; przyjaciół miał wielu, przyjaciółek kilka,

z tych jedną stała; przychodził szybko do posiadania coraz tęższej tuszy i coraz krótszego oddechu; był stałym gościem w pierwszorzędnych handlach, znał się wybornie na winie i cygarach, uchodził za pierwszorzędną powagę w sprawach wintowych, a niekiedy, gdy głębiej zastanawiał się nad życiem i zadaniami człowieka na tym padole płaczu, wpadał w pesymizm i dowodził, że nie warto żyć na świecie, ponieważ... trudno jest w Warszawie o porządnego kucharza...

Tak to, Pani Dobrodziejko, los ludzi niekiedy smaga i prześladuje...

Jego małżonka miała mniejszy, uboższy repertuar rozrywek. Nie zachwycały ją karty, nie znała się na wysokich gatunkach win, zapachu cygar, chociażby najlepszych, znosić nie mogła. Lubiała jadać dobrze, ale nie w tym wszelako stopniu, co jej małżonek. Z rozkoszy uczuć przyjaźni także korzystała znacznie mniej niż — mąż. On mógł bezpiecznie powierzyć przyjaciółom wszelkie tajniki — ona zaś nie odważyłaby się odkryć przyjaciółkom swych pożądań i pragnień, gdyż zaraz wzięłyby ją na ząbki naturalne i sztuczne.

Pozostał jej zatem tylko świat strojów i flirtu; pierwszym poświęcała prawie całą swą inteligencję i ogromne zapasy wolnego czasu, z drugim poczynała sobie ostrożniej, zwłaszcza w pierwszych latach. Początek bywa zwykle najtrudniejszy. I byłoby się to pożycie owych dwojga ludzi wlokło jakoś, może

i dotrwaliby do końca, ale wyszły na jaw pewne fakty. Ona spostrzegła nagle, że mąż pozwala sobie za dużo, on znów zauważył, że żona zbyt wyraźnie akcentuje swoją sympatyę dla pewnego młodego człowieka. Oboje ci państwo przypomnieli sobie, że są mężem i żoną i że mają jedno względem drugiego niejaki zobowiązania.

Wyniknął spór, wzajemne oskarżenia, wymówki; z jednej strony łzy i spazmy, z drugiej gryząca ironia, aż wreszcie kwestya stanęła na ostrzu noża. Pani odjechała do rodziców, pan został na placu boju, obecnie korespondują z sobą na papierze stemplowym, rozmawiają za pośrednictwem adwokatów, a widują się niekiedy w salonach konsystorza. W gruncie rzeczy położenie ich nie zmieniło się nic. On żyje jak dawniej, ona również, a panicza psuje pieśczołami babcia. Jedno tylko przybyło im zatrudnienie, a mianowicie: on upatruje jakiej piękności z posagiem, którą mógłby uszczęśliwić swoją ręką — ona zaś, bardzo jeszcze przystojna separotka, obserwuje bacznie wśród salonów człowieka z odpowiednią pozycją majątkową i towarzyską, któryby zechciał zahypotekować się na drugim numerze księgi jej serca.

Oto i koniec historyjki — a teraz proszę o wiadomość, co się z Panią dzieje, czy posyłka doszła, czy Pani z niej zadowolona i wreszcie, jak stoi ta sprawa, która stała się przyczyną zawiązania niniejszej korespondencyi.

IX.

„Przepraszam, przepraszam i jeszcze raz prze-
„praszam — moja wina! Zaniedbałam się w korespon-
„dencji, zaległam, ale niech mnie usprawiedliwi brak
„czasu. Widzę już ironiczny uśmiech na pańskiej
„twarzy, kochany Kuzynie, widzę jak wzruszasz ra-
„mionami i mówisz: Jakto, ona niema czasu? więc
„któż go mieć będzie? — a jednak ja mówię prawdę
„szczerą; dziesięć razy zabierałam się do pisania i za
„każdym razem coś mi przeszkodziło; bo... bo... widzi
„Kuzyn kochany, obecnie mam mnóstwo zatrudnień.
„Starzeję się widocznie, zaczynam się wdawać w dro-
„biazgi, co więcej — wstyd się przyznać — zrzędzę,
„i to dość często. Zaczęłam wglądać w sprawy domo-
„we i przeraziłam się, widząc, jaki w nich nieład.
„Trzeba było zrobić zmianę gabinetu, mówiąc języ-
„kiem gazeciarskim; zmienić połowę służby, a nad
„całą zaprowadzić kontrolę. Nielatwo mi to przyszło,

„ale zmusiłam się do wczesnego wstawania, do zajęcia
 „się drobiazgami, które poprzednio nie obchodziły mnie
 „wcale. I wiesz, kochany Kuzynie, co zyskałam na
 „tem? Nie mówię oczywiście o korzyściach materyal-
 „nych, ale zyskałam to, że moje pojęcia o czasie
 „zmieniły się z gruntu; że nareszcie godzina wydaje
 „mi się godziną—a nie rokiem, jak jeszcze niedawno.
 „Ach! i dużo, dużo się tu zmieniło od czasu ostatnie-
 „go mojego listu... ale o tem później. Przedewszyst-
 „kiem dziękuję za przesyłkę, wszystko jest dobre,
 „według miary. Szkoda, że się nie ożeniłeś, kochany
 „Kuzynie, skoro tak doskonale umiesz załatwiać dam-
 „skie zlecenia.

„Historyjka którą mi opisałeś, nie ma dla mnie
 „uroku nowości; wiem o niej, znam nawet osobiście
 „aktorów tego dramatu; bo mów sobie co chcesz,
 „szydź, śmieć się — ale ja twierdzę i twierdzić będę
 „zawsze, że to dramat..

„Była wprawdzie chwila, że ja myślałam sama,
 „myślałam... ale zastanowiwszy się głębiej, wstydzę
 „się tych myśli... To jest zobowiązanie, więcej niż
 „zobowiązanie, przysięga...

„Na wsi byłam i bywać będę często.

„Wiele jest tam do roboty. Znalazłam chorą,
 „opuszczoną staruszkę, bardzo jest biedna, dzieci
 „o nią nie dbają, teraz ma opiekę i mieć ją będzie do
 „śmierci. Znalazłam kilka sierot—są już na folwarku.

„Nakarmione, umyte, dobrze odziane, cieszą się ze zmiany swego losu. Mąż mój dał im stosowne zatrudnienie, więc darmo chleba nie jedzą... pracują także dzieciaki! Chłopiec ma dwanaście lat, jest przy koniach, dziewczęta dwie, trochę młodsze, obsługują drób. Dobre dzieci, bardzo mnie zajmują. Postaram się, aby im sieroctwo było lżejsze i znośne.

„Zapytujesz, kochany Kuzynie, co się u nas dzieje? „Doprawdy, nie umiem na to dokładnie odpowiedzieć; „niby wszystko tak jak było, a przecież nie tak. We- „selej jakoś czas schodzi; mój mąż wciąż ma dobry „humor, proponował, żebym się trochę zabawiła, że- „byśmy karnawał spędzili w Warszawie; oparłam się „temu stanowczo, z tego powodu, że mąż mój po- „niósł dość dużą stratę materyalną przez wypadek „w gorzelni. Nie wiem, z jakiego powodu pękł kocioł „i uszkodził cały, podobno dosyć kosztowny budynek. „Szczęściem, stało się to w samo południe, kiedy „wszyscy robotnicy wyszli na obiad i tym sposobem „obeszło się bez ofiar. Przeprowadzenie fabryki do „poprzedniego stanu kosztować będzie sporo, i to był „powód, dla którego propozycję Henryka odrzuciłam „stanowczo. Opierał się on temu i nalegał, ale osta- „tecznie musiał ustąpić. Jestem przekonana, że zro- „biło mu to przyjemność. Zabawić się można i tu- „taj na wsi, w kilku domach w sąsiedztwie projekto-

„wane są większe zebrania — u nas również. Będę
„miała z tego powodu dosyć roboty.

„Owa zabawa u nas ma być w końcu stycznia,
„dwudziestego piątego, byłabym bardzo szczęśliwa,
„gdybyś, kochany Kuzynie, chciał nas odwiedzić, przy-
„jedź na tydzień albo na dwa. Wieś w zimie nie
„jest straszna, a jeśli jesteś amatorem polowania, to
„lepszego zapewne łatwo nie znajdziesz. Bo tu są
„ogromne lasy w naszych stronach i zwierzyny nie
„brak. Niech cię odległość nie przeraża, kilkanaście
„stacyj koleją, kilkanaście mil na saniach. W wagonie
„dość jest wygodnie, a droga zwyczajna wyda się jak
„spacer. Śniegu mamy w tym roku obfitość, cała
„okolica tonie w białym puchu. Droga wskutek tego
„jest wyborna i nie męcząca.

„Zapraszam serdecznie, w imieniu własnem
„i Henryka, który pragnie Cię poznać. Oboje doło-
„żymy starań, abyś się nie nudził, a jeżeli nie ze-
„chcesz przerywać swych zatrudnień, to znajdziesz
„i u nas kącik tak spokojny, jakiego w całej War-
„szawie szukałbyś napróžno... Rzeknij słowo, Kuzy-
„nie, a przygotuję się godnie na Twoje przyjęcie. Go-
„towa jestem posunąć uprzejmość tak dalece, że spro-
„wadzę specjalnie dla ciebie beczkę atramentu i cały
„wagon papieru, żeby ci nie zabrakło. Czekamy na
„Pana dobrodzieja.“

X.

Wiesz Pani, czem kogo kusić! Mniejsza o beczkę czernidła i o wagon papieru, ale owa bezwzględna cisza wiejska, jaką mi obiecujesz, to przedmiot westchnień wszystkich ludzi zmuszonych pracować umysłowo w zgiełku i turkocie wielkiego miasta; ale ta cisza jest zradna, ja ją znam. Zdaje się człowiekowi, że w leciuchnej łódce płynie po równej, gładkiej i niczem niezmaconej powierzchni jeziora, że może zapomnieć w danej chwili o wszystkim i wyłącznie tylko ze swemi myślami pozostać. Co bo może mu przeszkadzać, jaki szmer przerywać bieg myśli na wielkiej, jak lustrzana szyba gładkiej, powierzchni wody?

Takby się zdawało, Szanowna Pani Dobrodziejko, a przecież jest inaczej, owa bezwzględna cisza nie istnieje. Zamyśliłeś się, a oto nie wiadomo z kąd figlarz wietrzyk wyskoczył i dmucha na ciebie;

z trzciny nadbrzeżnej woła na cię dzika kaczka, w górze rybitwa zatacza szerokie kręgi i jak kula spada na wodę po zdobycz, to znów ryba maści powierzchnię wody, błysnąwszy nagle przed oczami srebrną łuską, para gołębi przelatuje tuż nad twoją głową, łomocząc skrzydłami, czapla zapada na płytkie wybrzeża, jaskółki muskają w przelocie toń gładką, a tam z lasu biegnie w podskokach trwożnie sarenka, aby pragnienie ugasić. Znam ja, Pani Dobrodziejo, tę ciszę pozorną, tę niby martwość pełną życia i oddawna wiem o tem, że ciszy nigdzie niema: choćby człowiek szukał jej w podziemiach, to i tam przyjdzie za nim nietoperz, szczur, pająk, przyjdą różne robaki, aby zaprotestować i powiedzieć, że ciszy bezwzględnej niema i że jej szukać próżny trud. I polowanie nie jest dla mnie pokusą; nie mogę się przekonać do tej niby rycerskiej rozrywki, polegającej na zabijaniu lub kaleczeniu zwierząt. Z zaproszenia Pani korzystałbym chętnie, nie dla ciszy, której nawet w najbardziej zapadłych zakątkach wioskowych niema, nie dla polowania, nie posiadającego, jak dla mnie przynajmniej, powabów, ale dla towarzysztwa, dla oderwania się chwilowego od atramentu i papieru, który mi Pani chce wagonami sprowadzić. Niech Pani cofnie zamówienie i wstrzymać każe transport, ja nie przyjadę i z gościnności korzystać nie będę, gdyż nie mogę teraz. Z zaproszenia wolę sko-

rzystać latem, jeżeli doczekam i jeżeli państwo w domu będziecie. Bardzo rad będę poznać pana Henryka, bo już, dzięki tej naszej korespondencji, powziąłem dla niego sympatyę... Dzięki naszej korespondencji... Czy Pani nie uważa, że ona jakoś się psuje, traci racyę bytu, odbiegamy w niej coraz bardziej od kwestyi, Pani nie rzuca już pytań, nie chce rad i, daj Boże w dobrą godzinę to powiedzieć, nie ma pani miny (bo i w korespondencji minę mieć można), nie ma pani miny nieszczęśliwej, znudzonej życiem kobiety... Jestem prawie pewny, że w ostatnich czasach musiała pani wypięknieć. Czy tak? Czy zwierciadło potwierdza moje przypuszczenia? Czy pan Henryk zauważył to zblizka, czego ja się domyślam zdaleka? Niech mi Pani koniecznie, ale to koniecznie o tem napisze. Nie chodzi tu o zaspokojenie zwykłej ciekawości, lecz o stwierdzenie teoryi. Bo, widzi Pani, chociaż jestem kawaler i prawdopodobnie do końca życia temu szlachetnemu stanowi będę wiernym, jednak piękność niewieścia bardzo mnie zajmuje i przyszedłem do przekonania, że na nią, to jest na piękność, składają się nietylko zewnętrzne przyczyny. Niech się to Pani nie wyda paradoksem, ale kobieta piękna jak Wenus może się wydawać wcale nieładną — w pewnych warunkach — a natomiast osoba zaledwie że przystojna, może robić wrażenie uroczonego zjawiska: pierwsza, jeżeli jej nie oży-

wia jaka przyczyna wewnętrzna, psychiczna, pozosta-
 stanie tylko manekinem, ładną figurką porcelanową,
 ale zachwycić, a nawet zaciekawić nie zdoła; druga,
 daleko skąpiej wyposażona w urodę, może się wy-
 dać zachwycającą.

Może to Pani łatwo sprawdzić, niech Pani tylko
 obserwuje tłumiącą ziewanie piękność, znudzoną czczo-
 ścią i pustką bezmyślnego życia, i kobiety zatrudnio-
 ne, oddane zajęciu, kobiety, spełniające obowiązki
 swe z przekonania, z zasady... Niech Pani przypa-
 trzy się kiedy kobiecie-matce, nawet nie uchodzącej
 za ładną, niech Pani spojrzy na jej twarz w chwili,
 gdy bierze dziecko na rękę, lub pochyla się nad ko-
 łyską. Zobaczy Pani wówczas, jak ta kobieta wy-
 pięknieje, jak się ożywią jej oczy, rozpromieni cała
 twarz. Przypomina Pani sobie bezwątpienia wspólną
 naszą kuzynkę, dziś już nieżyjącą, która do późnego
 wieku zachowała szczególną świeżość cery i blask
 oczu, nazywano ją „piękną staruszką bez zmarszczek.“

Nieraz bywała ona zapytywana, jakim sposo-
 bem potrafiła się tak zakonserwować doskonale?

— To nie żadna sztuka — odpowiadała — zimna
 woda i mydło, to są moje jedyne kosmetyki, zatrud-
 niona zawsze od rana do nocy, nie znałam prawie
 co bezsenność, chyba gdy dzieci chorowały i trzeba
 było czuwać nad niemi; nie zaznałam też nigdy co
 to nudy, a zawsze myśląc o mężu i dzieciach, nie

miałam czasu zastanawiać się nad sobą i wytwarzać zmartwień. Oto cały sekret.

Dzielna to była kobieta, doskonała żona i matka.

Pamięta ją Pani zapewne. Ja widziałem ją po raz ostatni przed czterema laty, było to na krótko przed jej śmiercią. Jeszcze mam przed oczami jej postać, wzbudzającą poszanowanie. Przyjmowała udział w rozmowie i bez względu na wiek podeszły, obchodziło ją wszystko, o czym mówiono. Zaczyna staruszka ręce miała wciąż zaprzątnięte, pomimo, że się jej jaknajśluszej odpoczynek należał. Szyła ciągle jakieś stroje dla wnuków. Przeszła przez życie cicho, a tak pożytecznie, tyle dobrego zrobiła! Jakże nie cenić i nie szanować jej pamięci?!

Wpadł mi przypadkiem do rąk rękopis, pamiętnik kobiety, szkoda, że niedokończony, pisany urywkowo, ale można z niego jeszcze coś wydobyć. Była to widocznie nieszczęśliwa istota i nietrudno z pamiętnika wywnioskować, że pragnęła pozbyć się ciężaru życia dobrowolnie. Może kiedy w wolnym czasie uporządkuję ten manuskrypt, obecnie poprzestanę na zakomunikowaniu Pani kilku bardziej charakterystycznych wyjątków. Oto co mówi między innymi wiotki, napół zbutwiały papier, co opowiadają drobne, pospiesznie kreślone literki...

„... Od dziecka wciąż mi kładziono w głowę, że ładna, że stworzona jestem do szczęścia, do za-

baw, odbierania hołdów. Niech im Bóg tego nie pamięta...

... Byłam dzieckiem—lalką, byłam kobietą-lalką, strój mnie zachwycił, pochlebstwa upajały...

... Na moje nieszczęście, teraz to widzę jasno, przyszedłam na świat w tej sferze, w której nie znają, co to troska o byt. Pieniądz ułatwia wszelkie zachcianki, pozwala być niczem, nie umieć dobrze nic, żyć życiem motylka.

... Wydano mnie zamaż... Czy kochałam człowieka, którego towarzyszką zostać miałam? — to pytanie nie zastanawiało mnie bynajmniej; więcej mnie zajmowała przepyszna suknia ślubna, uroczystości weselne, szereg zabaw projektowanych, wyjazdy, wreszcie bawiła mnie rola samodzielnej już pani domu, mogącej jaśnieć we własnych salonach i upajać się aż do zawrotu głowy kadzidłem pochlebstw, których mi nie szczędzono.

... Każdy mężczyzna z naszego towarzystwa mówił mi, że jestem piękna, zachwycająca, urocza, że uszczęśliwić mogę uśmiechem, spojrzeniem, słówkiem przychylnem, a ja słuchałam tych słów banalnych, bezmyślnych, upajałam się nimi...

... Za mężem byłam krótko, po dwóch latach pożycia, umarł. Nie rozpaczałam po nim, nie uczułam braku tego człowieka. Ładnej blondynce bardzo do twarzy w żałobie... Mówiono mi jeszcze więcej

komplementów niż poprzednio, mówiono goręcej i śmielej.

... Po roku zdjęłam żalobę i znów wyszłam za mąż... Tym razem jeszcze gorzej. Pierwszy mąż był mi zupełnie obojętny: ani dobry, ani zły; drugi, prześladował mnie zazdrością. Z początku bawiło mnie to i starałam się usilnie, aby miał powody do wybuchów gniewu, a raczej pozory powodów. Nie przypuszczałam, że rzeczy zajdą tak daleko. Zranił w pojedynku człowieka, który tyle był winien, że ja uśmiechałam się do niego. Zranił go ciężko, a ze mną rozszedł się. Sprawa naszego rozwodu ciągnęła się dość długo; przez ten czas chorowałam ciężko, a ślady przebytych cierpień wyraźnie zarysowały się na mej twarzy. Zestarzałam się, zbrzydłam, patrząc w lustro, doznawałam wrażeń okropnych...

... Koniecznie, koniecznie chciałam wskrzesić dawną moją piękność, próżna praca... chciałam znów otoczyć się rojem wielbicieli jak dawniej, jeszcze raz wyjść za mąż i bawić się jak dawniej. Niestety, nie udawały się moje zabiegi. Uroda znikwała szybko, a prócz tego majątek mój, źle administrowany, zmniejszył się znacznie; przestałam być ponętną i z tego względu.

... Jestem teraz osamotniona, przerażająca pustka dookoła mnie, życie staje się okropnym ciężarem.

... Czemuż nie dano mi zasad, ideałów, dążeń, czemuż nie nauczono mnie pracować?

... Byłam niczem, jestem niczem i odchodzę w nicość.

... Po co ja żyłam?“

Biedna kobieta, nieprawdaż? Ciekawa rzecz, co się z nią stało? Może skończyła odrazu samobójstwem, może powolnie zatruwała się morfiną, a może wegetuje jeszcze, wstrętna sama dla siebie, przykra dla otoczenia, jeżeli ma jakie, zazdroszcząca biedakom i wyrobnikom, którzy jednak miewają niekiedy uśmiech na twarzy i chęć do życia.

Smutny obraz!

Pewien myśliciel powiada, że matką wszystkiego złego, wszystkich nieszczęść, występków, nawet zbrodni — jest próżniactwo. Człowiek, który nic nie robi i nie jest użyteczny dla drugich, nie zasługuje na miano człowieka — nie jest nim.

Wielka to prawda i gdyby stosowano się do niej, byłoby ludziom daleko lepiej na świecie.

Wybacz, kochana Kuzynko, że ten list, jak na karnawał, jest może za smutny, ale niestety, życie nie z samych uśmiechów się składa...

XI.

Cisza, cisza, aż do wiosny. Listu niema, już słońce przygrzewa, pola pozieleniały, skowronek piosnki wydzwania. Natura się budzi i wołać się zdaje na człowieka: Wyjdźże z murów, chodź, ogrzej się, odechnij pełną piersią. Przyjdź do tej uczty, w której biorą udział kwiaty, motyle, ptaszki i wszelkie stworzenia. Skąp się w promieniach słonecznych, a zdawać ci się będzie, żeś odmłodniał. Teraz pojechałbym chętnie odwiedzić kuzynkę i jej męża, w lesistej okolicy ładnie być musi...

Rzeczywiście oto przychodzi list.

„Teraz już się nie wymówisz, Panie. Kiedy „przysłać konie na stację? Jeżeli jeszcze kołacze się „w Twem sercu odrobina wrażliwości na piękno natury, przyjeżdżaj zaraz, bo każda chwila droga. Hoj- „na pani pełnemi garściami rozrzuca dary swe na „przebudzoną z uśpienia ziemię, tyle światła, tyle

„zieloności, a wśród drzew, krzewów, pól, tyle rado-
 „snego świegotu ptactwa, że się nasłuchać nie można,
 „przyjeżdżaj, przyjeżdżaj, przyjeżdżaj! Co do mnie,
 „nigdy nie robiła na mnie wiosna tak wielkiego wraże-
 „nia, nigdy nie wydała mi się tak piękną, jak obe-
 „cnie. Żyję, oddycham pełną piersią, jest mi weso-
 „ło, błogo, dobrze.

„Zapytasz zapewne: dlaczego? Zkąd ta zmiana?

„Chcesz wiedzieć prawdę?

„Byłam w tej korespondencji szczerą, będę nią
 „i nadal.

„Ja jestem zakochana, Kuzynie, przejęta uczu-
 „ciem głębokiem, poważnem, prawdziwem, mogącym
 wypełnić całe życie.“

Masz tobie! tego tylko brakowało, pomyślałem
 sobie, pani Aniela zakochała się... a mniemałem, że
 wszystko jest na dobrej drodze... Biedny ten pan
 Henryk... Ależ nie, wprost przeciwnie, dzisiejszy list
 pani Anieli jest pełen niespodzianek.

„Chcesz wiedzieć, Kuzynie, kto przebudził moje
 „uśpione aż dotąd serce? kto? Jak ci się zdaje? Oto
 „Henryk, mój mąż.

„Może to śmiesznie zakochać się we własnym
 „mężu, po kilku latach pożycia, ale tak się stało.

„Przyjmij moje podziękowanie i uścisk dłoni,
 „gdyż pośrednio przyczyniłeś się do tego. Radziłeś
 „mi zbliżyć się trochę do męża, zainteresować się je-

„go pracą, przyjąć w niej udział. Posłuchałam tej ra-
„dy i przekonałam się, że pod chłodną na pozór po-
„wierzchnością, w tym skromnym, małowównym,
„pracy oddającym się człowieku, jest piękna dusza,
„szlachetne serce i wielka inteligencja. Ze wstydem
„przyznaję się, że go nie znałam dotychczas. Po-
„znawszy, zaczęłam się zastanawiać nad sobą i wogó-
„le nad naszym stosunkiem, i przyszłam do tego prze-
„konania, że tak być dłużej nie może, gdyż powinno
„być lepiej. On mi w tem dopomógł swoją łagodno-
„ścią, wyrozumiałością, postępowaniem uprzejmem.
„Prosiłam go, aby mi pozwolił zajmować się choćby
„tylko rachunkami; nie bronił, ale bardzo delikatnie
„dał do zrozumienia, że gdybym chciała tylko domem
„się zająć, miałabym dużo zatrudnienia i prawda, te-
„raz mogę powiedzieć, że prawda. Gospodarstwo mę-
„żowskie interesuje mnie bardzo, niekiedy towarzyszę
„mu w pole, ale tylko wolnym czasem, gdyż te za-
„trudnienia, jakie mam w swoim kobiecym światku,
„zajmują mi prawie dzień cały. Poznaliśmy się bliżej
„z mężem moim i szczerze to mówię, pokochałam
„go i dziś tak zwana „kwestya małżeńska“ jest dla
„mnie rozwiązana. Kochać i pracować. Oto cały
„sekret; nie mieć czasu, to połowa szczęścia. Już się
„nie gniewam na Ciebie, Kuzynie, za twoje bohaterki
„z poddaszy, suteryn i chat chłopskich. Wierz mi,
„że teraz potrafię oddać sprawiedliwość tym praco-

„wnicom niezmordowanym, nie rażą mnie ani
 „ich narobione ręce, ani grzbiety w kablak wygięte.
 „To są ludzie obowiązku.

„Ponieważ, jak sądzę, wyczerpaliśmy przedmiot,
 „jak dla mnie przynajmniej, więc możemy na tem
 „korespondencyę zakończyć. Nie znaczy to, żebyśmy
 „zupelnie mieli wymiany listów zaniechać, ale do te-
 „go przedmiotu pocóż wracać?

„Wstyd mi, że poruszyłam kwestyę, która, jak w tej
 „chwili, już dla mnie kwestyą nie jest i zrobisz mi, ko-
 „chany Kuzynie, wielką grzeczność i łaskę, jeżeli przy-
 „wiedziesz z sobą moje listy i oddasz mi je na spalenie.“

„Chciałabym zatrzeć ślady przestępstwa, a do-
 „prawdy przestępstwem jest nie znać tak prostych,
 „elementarnych zasad życia!

„Oszczędźże mi wstydu i daj listy, aby je pło-
 „mień zniweczył.

„Czekamy.

„Do mojej prośby i Henryk swoją dołącza, przy-
 „jeżdżaj i ciesz się naszym szczęściem, bośmy napra-
 „wdę szczęśliwi.

„Czekamy.

„Zobacz naszą okolicę przepiękną i przerzniętą
 „szeroką wstęgą spławnej rzeki, bogatą w wielkie łą-
 „sy, w szerokie pola; odetchnij naszym powietrzem,
 „a orzeźwi cię ono.”

XII.

Ostatni mój list był króciutki.

„Przyjeżdżam pierwszego Maja, pociągiem wychodzącym z Warszawy o godzinie 9 m. 20 rano.

Jest to termin stanowczy i chyba tylko jakaś okoliczność nadzwyczajna zmienić go może.

Spieszę obaczyć wasze łąny i pola, poznać stare bory szumiące — a przede wszystkim nacieszyć się widokiem dwojga ludzi szczęśliwych.“

K O N I E C.





76339/
1